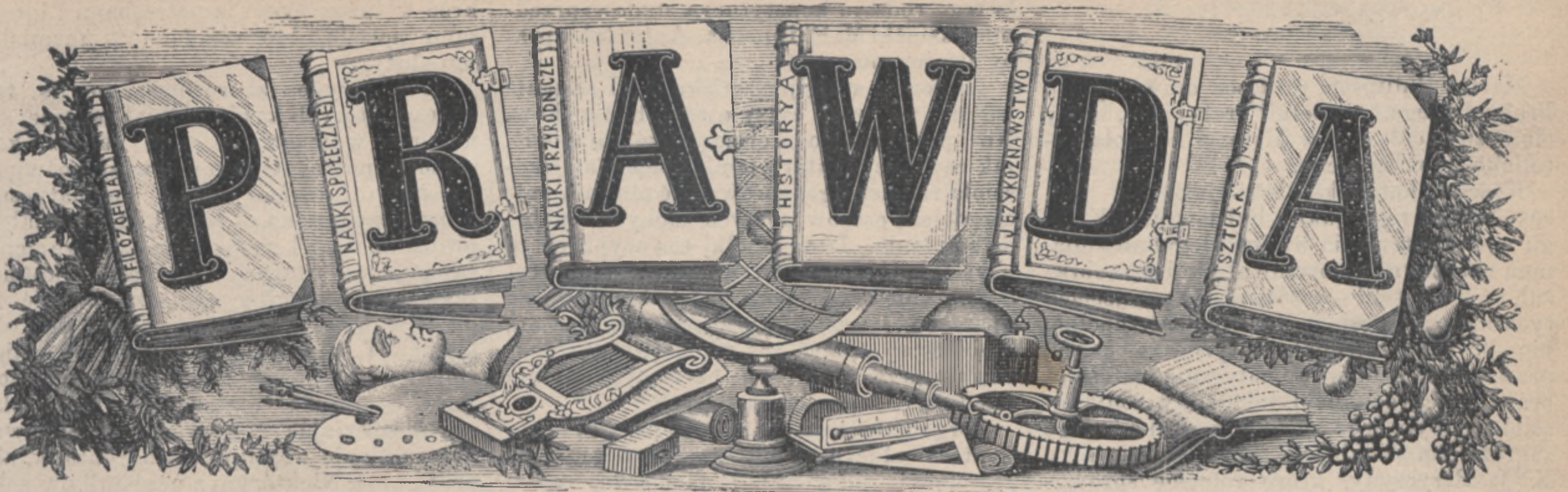
№ 35. Warszawa, dnia 30 (18) Sierpnia 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Zielna Nr. 7-a.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ. Uproszczona procedura.—Początki katolicyzmu nowoczesnego p. T. T. Jeża.—Stasiek (obrazek miejski) p. W. Marrené.—Przeszłość i przyszłość religii według H. Spencera III.—Z Niemiec p. J. Karłowicza. - Z Galicyi p. Rewerę.—Z Czerwonej Rusi p. Myrona. — Liberum veto p. Posła Prawdy.—Na widnokręgu.—Tydzień polityczny.—Cudze głosy.—Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi.—Ofiary.—Ogłoszenia.

UPROSZCZONA PROCEDURA.

Od jakiegoś czasu krążyły pogłoski, powtarzane i przez nasze pisma codzienne, o projektowanych zmianach w stosunkach sądów Galicyi i Królestwa Polskiego. W pogłoskach tych nie brakło tonu alarmującego. Podrażniona domyślność podejrzywała istnienie związku między przyszłą ustawą i podkreślaną wciąż potrzebą antirewolucyjnej ligi państw. Ogłoszony tekst nowej konwencyi w zupełności usunąć może wszelkie obawy tego rodzaju. Pierwszy zaraz paragraf głosi, iż artykuły 9, 10 i 13 traktatu z 3 (15) października 1874, dotyczące wydawania zbiegłych przestępców, nie ulegają żadnej zmianie.

Istota reformy zasadza się jedynie na uproszczeniu procedury w sprawach, w których granica państwowa, oddzielając przestępców, świadków, strony lub miejsce zajścia od sądu kompetentnego, utrudnia wymiar sprawiedliwości.

Rzecz naturalna, że potrzeba zmian przy tak ciągłych, ścisłych i licznych stosunkach, jakie łączą Królestwo Polskie z Galicyą, w tym punkcie była bardziej naglącą i niezbędną, niż na innych liniach zetknięcia się dwóch państw.

We wszystkich sprawach karnych prócz okoliczności, dotyczących bezpośrednio danego wypadku, sąd do orzeczenia swego zawsze niemal potrzebuje mieć dokładne wiadomości o osobie i przeszłem życiu oskarżonego, jak również świadectwa władz, mogących najlepiej znać jego moralną wartość. Chociażby więc występek popełniony był całkowicie w jednym państwie, jeżeli tylko sprawca jest obcym poddanym, zachodzi konieczność skomunikowania się z zagranicznemi sądami i policyą, ściągnięcia dowodów i uzupełnienia ich w miarę rozwoju śledztwa. Toż samo ma miejsce, gdy obywatel jakiegoś państwa przewinił za granicą, a następnie schronił się na terytoryum swego kraju. Często wypada zarządzić po za obrębem władz własnych rewizye domowe, konfiskaty, oględziny lekarskie, badanie znawców, świadków, stron itp. nieuniknione szczegóły każdego dochodzenia, czy to w sprawach kryminalnych, czy cywilnych. Do tego dołączyć należy doręczanie wezwań, wyroków i innych aktów tego rodzaju. Słowem, jak tylko jeden rąbek sprawy przechodzi w jakikolwiekbądź sposób przez polityczną granicę państwa zjawia się konieczność użycia pomocy władz obcych.

Dotychczas sąd krajowy krakowski lub samborski, chcąc zasięgnąć wiadomości, czy to o osobie obwinionego, czy o istocie czynu, czy o stanie sprawy od sądu — przypuśćmy — kieleckiego, musiał uciekać się do pośrednictwa instytucyj dyplomatycznych, to jest do przedstawiciela austro-węgierskiego państwa w Rosyi. Rzecz naturalna, że taki nakład drogi odbijał się na szybkości załatwiania spraw. Szczególniej dotkliwie czuć się dawały skutki rzemiennego dyszla ludziom, oczekującym sprawiedliwości od c. k. sądów w Austryi. Znamy jeden wypadek, gdzie mieszkaniec Królestwa, uwięziony w Krakowie, już po zupełnem ukończeniu śledztwa, oczekiwał całe miesiące na swój los, dlatego, że nie nadchodziła odpowiedź od władz z gubernii łomżyńskiej. Radca sądu krajowego niższego, p. Mikuszewski, zapytany o przyczynę zwłoki, wytłomaczył, iż z New-Yorku doczekać się łatwiej informacyi, niż z Warszawy. Nareszcie żądane świadectwa i wyjaśnienia nadeszły w końcu października, podczas gdy zapytanie wyprawione zostało w kwietniu.

Zmieniona procedura upoważnia krakowski i lwowski Sąd wyższy, oraz wszystkie galicyjskie sądy niższe krajowe i powiatowe do bezpośrednich stosunków z warszawską Izbą sądową, sądami okręgowemi, jak równie ze zjazdami sędziów pokoju w całem Królestwie i — rozumie się — naodwrót. Wymienione sądy mogą teraz zwracać się nietylko jako zbiorowe instytucye do instytucyj, lecz podobne prawa nabyli również prezesi i prokuratorzy; sędziowie pokoju zaś muszą używać pośrednictwa zjazdów.

O ile zmiana ustaw wpłynie na usunięcie wad procedury zależy to naturalnie od tego, czy główną przyczyną marudztwa były pośredniczące instytucye polityczne, czy też same sądy. A zdaje się, że na te ostatnie spada znaczna część winy. Bardzo być może, że nowy traktat pozostanie tylko platoniczną pociechą, a sprawy wlec się będą na dawne tempo. Nie bardzo jesteśmy przyzwyczajeni do tego, aby nowa forma miała koniecznie usuwać stare niedogodności.

W przyszłych stosunkach międzynarodowych urzędy austryackie używać będą języka niemieckiego, rosyjskie zaś—rosyjskiego. Koszta za pomoc ponoszone będą przez to państwo, które takowej zażąda.

Niepodobna tu ominąć ważnego pytania: co wywołało tę ugodę? Jej tekst wspomina ogólnie o „sprawach cywilnych i kryminalnych" i o tych też mówiliśmy; wnioskując wszakże z innych objawów porozumienia się państw i rozpoczęcia wspólnych działań przeciw przewinieniom specyalnego charakteru, przypuszczać można, że one to będą głównym przedmiotem nowowytworzonych stosunków sądowych, a przynajmniej były główną pobudką do skrócenia dla tych stosunków drogi. Jeżeli to przypuszczenie jest słusznem, w takim razie ogłoszona konwencya nabiera większej wagi.

POCZĄTKI KATOLICYZMU NOWOCZESNEGO.

Martin Philipson, profesor uniwersytetu brukselskiego, uzupełnił brak jeden, który się uczuwać dawał w historyi kościoła katolicko-nowoczesnego.

Kościół katolicki, taki jak dziś jest, różni się od tego, jakim był dawniej. W ciągu wieków trwania swego ulegał on zmianom znacznym, reformował się i przeobrażał, aż się ustalił ostatecznie. O przejściach tych historya posiada świadomość zupełną; nie posiadała jednak dotychczas pracy, przedstawiającej systematycznie całość obrazu owej rewolucyi, jaka się w łonie kościoła odbyła wówczas, gdy istnienie jego zagrożonem zostało, a mianowicie w wieku XVI. Przyczyny, które reformę sprowadziły, wszystkie istniały i działały. Nie zażegnały ich ani sobory wieku XV, ani też zakony Kamedułów, Kapucynów, Barnabitów, Somasków, Trynitarzy, Jezuitów wreszcie, które, zawiązując się jeden po drugim, wnosiły, zamiast porządku, zamieszanie coraz większe w rozumieniu dogmatów i określeniach różnych, jako też w przestrzeganiu hierarchii i karności. Sama stolica apostolska nie posiadała dość jasnego o stanowisku swojem pojęcia, a to z tego powodu, że podkopywało ją Odrodzenie, którego rzecznikami stali się papieżci, protegując nauki i sztuki, przeciwko interesom własnym działali. Wynikło stąd rozluźnienie we wszystkiem — we wierzeniu i karności, w rytuałach i obyczajach. Reforma się narzucała tak przeważnie, że zarówno wielu z pomiędzy biskupów i arcybisków, jak papieże nawet uznawali słuszność domagań się, stawianych przez wyznawców Lutra i Kalwina. We względzie tym panował chaos. Stronnicy stolicy apostolskiej jedno tylko rozumieli dokładnie: niebezpieczeństwo, jakieby wynikło, gdyby kościół na krok jeden ustąpił, to jest, gdyby gdzieś furtkę jakąś, bodaj najmniejszą, otworzył dla zmian. Temu zapobiedz, koniecznie zapobiedz należało — jak? — nie inaczej, tylko za pomocą konstytucyi, któraby raz na zawsze a nieodwołalnie ustępstwom wszelkim drogę zagrodziła i furtki wszelakie zniosła. Droga, najakiej powstała tego rodzaju konstytucya, stanowi przedmiot książki M. Philipsona. Autor tak o pracy swojej mówi:

„Reforma religijna wieku XVI ściągała na się po wsze czasy uwagę historyków. Nic prac ich godniejszego być nie mogło, jak rewolucya, która, łamiąc panowanie kościoła rzymskiego, sprowadzić musiała najcenniejszą czasów nowych zdobycz, swobodę sumienia. Lecz wielki ten wypadek za zbyt często zaniedbywać kazał stronę przeciwną: historyę oporu katolickiego, oporu upartego i systematycznego, jaki kościół, przedewszystkiem zaś papiestwo zorganizowało przeciwko coraz bardziej groźnemu naporowi idej reformacyjnych."

Zorganizowanie oporu tego nazwał autor kontrrewolucyą, odnosząc czynność tę do rewolucyi, jaką była Reformacya, która w zasadzie nie miała na celu stawiania kościoła innego. Kontrrewolucya powiodła się w zupełności, a polegała na zreorganizowaniu kościoła według planu nowego, nadając mu i dogmaty bardziej wyłączne i politykę bardziej zaczepną. Dokonała się ona w trzech przejawach: zakon Jezuitów, inkwizycya święta i sobór trydencki. Czynniki te, w grę wprowadzone, nie zreformowały, ale przerobiły kościół katolicki w celach odpornozaczepnych, do jakich go zniewalała Reformacya. Chodziło o to, ażeby się obwarować i uzbroić. Sobór trydencki dopiął tego i wytworzył katolicyzm nowy, datujący się od wieku XVI, a znamionujący się tem głównie, że powagę soborów, która do owej chwili była górującą, poddano władzy papieży. Od tej dopiero chwili papież stał się istotną głową kościoła, głową najwyższą i odpowiedzialną tylko przed Bogiem. Biskupi przestali być biskupami w znaczeniu dawniejszem, postradali prawa autonomiczne, jakie przedtem posiadali: zmienili się w delegatów papieskich. Także sama rola przypadła w udziale duchowieństwu niższemu, od biskupów zależnemu. Papież w osobie swojej zśrodkował całkowitą władzę kościelną, ogarniającą powszechność ludzką i wytwarzającą przez to w kraju każdym, gdzie jeno katolicyzm rzymski istnieje, państwo w państwie, posiadające interesy i potrzeby własne, odrębne, znajdujące się częstokroć w sprzeczności z potrzebami i interesami narodu, którego łono za karmiciela mu służy.

Sobór trydencki rozpada się na trzy okresy, których każdy urabiał zadanie, stanowiące wewnętrzną część całości konstytucyi nowej. Okres pierwszy poświęcony był całkowicie części dogmatycznej, którą oczyszczono ze wszelkich naleciałości protestanckich i zaopatrzono wargumenty, za pomocą których wyznawca kościoła rzymskiego mógłby nietylko bronić się przeciwko opiniom przeciwnym, ale i obalać je. W ten sposób pomiędzy katolicyzmem a protestantyzmem przeprowadzono linię graniczną wyraźną i niezmazalną, uniemożliwiając z góry i raz na zawsze porozumienie wszelkie. Albo katolik, albo protestant. Niektórym z uczestników soboru wydało się to rzeczą niepolityczną; w następstwie jednak pokazało się, że był to sposób jedyny na zapewnienie kościołowi trwałości. Prawda, odpadały bezpowrotnie państwa, które się za protestantyzmem wyraźnie oświadczyły, ale pozostawał fundament niewzruszony, fundament, ubezpieczający na teraz i na przyszłość wszystkie prawa i wszystkie roszczenia. W okresie drugim soboru uzupełnione i w komentarze odpowiednie zaopatrzone zostały prace, dokonane w pierwszym. W trzecim zbudowano system cały hierarchiczny i dyscyplinarny i postanowienia soboru zakomunikowano państwom katolickim do przyjęcia.

Państwa te nie jednakowo je oceniły. Część dogmatyczna przyjętą została przez wszystkie w całości, bez zmiany i protestacyi; część hierarchiczna i dyscyplinarna wywołała zastrzeżenia i opór. Francya odrzuciła ją w całości, obstając przy prawach kościoła galikańskiego. Hiszpania zastrzegła sobie prawa korony w rozdawnictwie beneficyów i w sądownictwie. Toż samo uczyniła Wenecya. W cesarstwie nastąpiło rozdwojenie pomiędzy dziedzicznemi Ferdynanda I krajami, a krajami, w których on jako monarcha wybrany panował. Te ostatnie poszły za przykładem Francyi i Hiszpanii. Kantony szwajcarskie katoli-

---

STASIEK.

(Obrazek miejski).

Na chrzcie nadano mu imię Stanisława, więc rówieśnicy wołali na niego Stasiek; ale matka i ojczym nazywali go „skaraniem boskiem," bo sobie z nim rady daćnie umieli. Najwłaściwiej jednak można go było nazwać konikiem polnym, chociaż bowiem urodził się na warszawskim bruku, a pola widział tyle, ile go spostrzedz można około rogatek, miał z wesołym skoczkiem zbóż dojrzałych pewne podobieństwo. Jak on lubił wygrzewać się na wiosennem słońcu, siedząc naprzód pochylony, z obwisłemi rękoma, ze skurczonemi nogami, które chudością i sprężystością swoją przypominały polnego konika.

Profil jego suchy, o wydatnych konturach, z cofniętem czołem i brodą, zdawał się także należeć do królestwa istot skrzydlatych, a już wyraźnie należały do niego oczy wielkie, okrągłe, osadzone na wierzchu, oczy brylantowe, podobne do ptasich, w których przedmioty odbijały się jak w wypukłem zwierciadle.

Uczeń Galla lub Lawatera byłby miał piękną sposobność studyować na nim charakterystyczny okaz zupełnej nieopatrzności i braku przewidywania, bo już najwięcej przypominał on konika polnego tradycyjnem usposobieniem, jakie mu bajka przypisuje. Niepodobna było znaleść na świecie istoty tak niedbałej o jutro, a żyjącej jedynie chwilą obecną, istoty, któraby tak niezdolną była poddać się jakiemu bądź przymusowi i przełamać się w czemkolwiek.

Kiedy słońce zaświeciło jasno, chłopiec nie był w stanie wysiedzieć pod dachem. Gdyby go zamknięto, wybiłby szyby i wyskoczył oknem, chociażby miał kark skręcić, padając na bruk uliczny; a gdyby w oknach były kraty, rozbijałby sobie o nie głowę bez ustanku, jak to czynią niekiedy więzione ptaki.

Usposobienie jego zależało od koloru nieba, od stanu powietrza, i nie było na nie żadnej rady. Kiedy chmury zaciągały niebo, siadał skurczony, osołowiały, wlepiając przed siebie wielkie oczy, w których migały otaczające przedmioty.

Skupić jego uwagę było rzeczą niepodobną; nie można go przecież było nazwać niepojętnym, przeciwnie, nauczył się niewidzieć gdzie i jak mnóstwa rzeczy; to co usłyszał i zrozumiał spamiętał, ale nauka, a przynajmniej nauka szkolna była wprost dla niego niedostępna.

Prawda, że nie miał nigdy do czynienia z żadnym pedagogiem, ani z nikim, coby się nim zajął na seryo; uczęszczał tylko do szkółki elementarnej, do której musiano go gwałtem prowadzić i z której, przyznać to trzeba, wymykał się cichaczem, jak tylko mógł najprędzej. Kiedy zaś wymknąć się nie mógł, kręcił się na ławce, jak fryga, lub też zajmował się gorliwie płataniem rozmaitych psot współtowarzyszom, lub nauczycielowi — jak się zdarzyło. Nic dziw więc, że zawód szkolny ukończył daleko wcześniej, niż należało, powracając po kilku miesiącach z rzadką miną i czerwonemi uszami do domu.

— Skaranie boskie z tym chłopcem — zawołała matka, kiedy się dowiedziała o ostatecznej katastrofie wydalenia syna ze szkoły.

— Skaranie boskie — powtórzył za matką ojczym.

Ojca bowiem swego Stasiek nie pamiętał wcale, nie pamiętali go też i ludzie. Był już sporym chłopcem, kiedy matka wyszła za mąż za krawca, który, jak mówili ludzie, ułakomił się na jej posag.

Tylko niech ten wyraz: krawiec w połączeniu z wyrazem: posag, nie przywodzi wam na myśl, czytelnicy, świetnego sklepu z lustrzanemi szybami, z pięknym manekinem, przystrojonym wedle ostatniej mody i wyglądającym na młodego panicza wśród stosów angielskich i francuskich materyałów.

Posag matki Staśka wynosił zaledwie kilkaset rubli; z takim posagiem o pięknym sklepie myśleć nie można, a krawiec, który się nań ułakomił, był sobie krawcem ubogich ludzi, daleko częściej łatał i przerabiał, niż krajał ze sztuki. Warsztat jego mieścił się w małej izdebce, położonej w głębi dziedzińca na Bednarskiej ulicy, o czem oznajmiał publiczności maleńki napis, ginący zupełnie pomiędzy wspaniałszymi szyldami, rozwieszonymi w około drzwi ulicznych.

W tym warsztacie mieściła się zarazem kuchnia i sypialnia całej rodziny, złożonej

ckie przyjęły postanowienia w zupełności, z tem jeno zastrzeżeniem, że się nie zobowiązują do niczego we względzie kantonów protestanckich. Państwami, które postanowienia te *in crudo*, bez zastrzeżeń żadnych przyjęły, były Portugalia i Polska.

O Polsce autor mówi: „Co się tyczy ważniejszego (aniżeli portugalskie) Królestwa polskiego, przejmowały papieża wielkie obawy. Protestanci posiadali w kraju tym wpływy ogromne i sam arcybiskup-prymas gnieznieński podzielał w części znacznej idee ich. Na szczęście dla kościoła, król Zygmunt August był gorliwym Rzymu stronnikiem. Nuncyusz Comendone posłużył się nim zręcznie, dla przeszkodzenia zgromadzeniu soboru narodowego, zwołanego przez prymasa, i przeprowadzenia przyjęcia, za pomocą pewnego rodzaju podchwytu, na sejmie warszawskim, r. 1564, dekretów soboru bez żadnych zastrzeżeń. Było to przedmiotem wielkiej dla Piusa IX radości.“

Miał się papież, zaprawdę, czemu radować! Nie można było lepiej nogi Polsce podstawić.

Reorganizacya, jakiej sobór trydencki dokonał, podtrzymała kościół potężnie. Nie byłaby ona jednak tego dokonała, gdyby z pomocą jej nie przyszli papieże jeden w drugiego ludzie zdolni, energiczni i dobrych obyczajów. Oni — zdaniem autora— bardziej aniżeli postanowienia oddziaływali na opinię publiczną społeczeństw katolickich. Dzięki im poprawiły się w ogóle obyczaje duchowieństwa zarówno niższego, jak wyższego, pozostawiające w wiekach XIV i XV do życzenia dużo i kościół uzyskał nową siłę, która pozwoliła mu dożyć dni dzisiejszych śród walki ustawicznej i niebezpieczeństw ogromnych. Jest to bezpośrednie soboru trydenckiego następstwo.

Praca profesora M. Philipson nosi tytuł: „Początki katolicyzmu nowoczesnego. Kontrrewolucya religijna w wieku XVI“ (*Les origines du Catholicisme moderne. La contre-révolution réligiense au XVI siècle.* Napisaną jest ona tak, jak dzieła naukowe pisanem być powinny, ściśle objektywnie, na podstawie opracowań Theinera, Döllingera, Sickela, von Druffela, Benratha i innych, oraz dokumentów źródłowych, które autor znalazł w archiwach brukselskich. Przedstawia w obrazie dziejowym, bardzo dobrze skreślonym, całość wypadku niezmiernie ważnego. W literaturze historycznej brakło dotychczas pracy tego rodzaju, będzie więc ona z zajęciem i korzyścią czytaną przez tych, których zajmuje historya powszechna.

T. T. Jeż.

PRZESZŁOŚĆ I PRZYSZŁOŚĆ RELIGII

według

H. SPENCERA.

III.

Przejdźmy teraz do wniosków. Ta wewnętrzna energia, będąca w doświadczeniach pierwotnego człowieka zawsze natychmiastowym poprzednikiem zmian, przez niego dokonanych — energia, którą, objaśniając zewnętrzne zmiany, uważał on wraz z przymiotami ludzkiej natury za swą nieodłączną własność, jest tą samą energią, wyswobodzoną z antropomorficznych przymieszek i uważaną obecnie za przyczynę wszystkich zjawisk zewnętrznych. Ostatni tu osiągnięty szczebel stanowi uznanie prawdy, że siła, istniejąca po za świadomością, nie może być podobną do tej, którą znamy jako istniejącą w świadomości; ale ponieważ każda z nich może wytworzyć drugą, muszą więc być odmianami tej samej. Wskutek tego, ostatnim wynikiem dociekań, rozpoczętych przez pierwotnego człowieka, będzie, że władza objawiająca się śród całego wszechświata, zwanego materyalnym, w nas objawia się pod postacią świadomości.

Jest więc nieprawdą, że poprzedzające dowodzenia usiłowały rozwinąć wiarę prawdziwą z fałszywej. Przeciwnie, dzisiejsza forma przekonań religijnych jest ostatecznem rozwinięciem wierzenia, zawierającego od początku zaród prawdy—zaciemniony rozlicznymi błędami.

Ci, którzy sądzą, że nauka osłabia wierzenia i uczucia religijne, zdają się nie dostrzegać, że każda tajemnica, wyjęta zestarej wiary, wchodzi w skład nowej — a nawet możemy powiedzieć, że objawia się tu postęp, gdyż wyjaśnieniem, zbliżonem o ile możności do prawdy, nauka zastępuje poprzednie, mniej dokładne, które stawiało nas wobec zagadek niewytłomaczonych.

Pod pewnym względem postęp naukowy jest stopniowem przeobrażeniem natury. Odkrywa on wielką złożoność tam, gdzie zwykle spostrzegano najzupełniejszą prostotę i jednostajność, odsłania niezmierną działalność tam, gdzie zdawała się panować bezwładność, a w całkowitej pozornie próżni, znajduje cudowną grę sił. Każde pokolenie fizyków dostrzega w tak zwanej „pierwotnej materyi“ siły, nieznane kilka lat temu nawet najwykształceńszym fizykom. Jako przykład może posłużyć własność prostej żelaznej blaszki w przyjmowaniu skomplikowanych drgań powietrznych, wywołanych przez członkowaną mowę, a które przetworzone w mnóstwo różnych elektrycznych prądów, udzielają się o tysiące mil innej żelaznej blaszce i są znów słyszane jako mowa artykułowana. Gdy badacz przyrody spostrzegł, że otaczające go ciała stałe, nieruchome z pozoru, są tak czułe na działania niezliczonych sił; gdy spektroskop dowiódł mu, że molekuły ziemi drgają zgodnie z molekułami gwiazd; gdy zmuszonym jest przyznać, że każdy punkt w przestrzeni drga nieskończonemi wibracyami, rozchodzącemi się we wszystkich kierunkach — pogląd jego na wszechświat musiał się zmienić. Widzi, że wypełniająca go materya nie jest martwą, lecz ożywioną, jeżeli nie w ścisłem, to ogólnem słowa znaczeniu.

To przeobrażenie, przyspieszane nieustannie badaniami fizyków, popartem jest jeszcze przez inne przeobrażenie, wynikłe z badań metafizycznych. Subjektywny rozbiór każe nam przyznać, że nasze naukowe objaśnienia zjawisk objektywnych trzymają się określeń, któremi wyrażamy nasze własne rozmaicie złożone wrażenia i pojęcia, to jest trzymają się pierwiastków, należących do świadomości, a będących tylko symbolami czegoś po za nią. Chociaż roz-

---

oprócz Staśka z majstra, majstrowej i małego Franka, krzyczącego ustawicznie. Nic dziw więc, iż niefortunny powrót chłopca ze szkoły, gdzie go umieściły bezpłatnie jakieś protekcye, był dla biednego małżeństwa prawdziwą klęską. Tej klęski nie usunęły jednak narzekania, ani „skaranie boskie,“ powtarzane na różne tony.

Trzeba było coś przedsięwziąć z dzieckiem, które siedziało skurczone w zwykłej swej postawie, błyskając tylko wielkiemi oczyma ku oknu i rozmyślając, jakim sposobem wydostać się na świat z izby, gdzie odbywała się narada nad jego dalszym losem.

Narada nie była ani długą, ani ożywioną, ale wypadła dla Staśka fatalnie: ojczym posadził go do swego warsztatu. Czyniąc to, postąpił zapewne roztropnie i uczciwie, chciał zaprawić pasierba do pracy, nauczyć rzemiosła, jakie sam posiadał, niemniej biedny konik polny uczuł się strasznie nieszczęśliwy. Jeśli co, to igła i nożyce były mu wstrętne, a rzemiosło, wymagające nieruchomego siedzenia na miejscu i uwagi w dodatku, stanowiło dla niego istną męczarnię.

To też terminatorstwo jego długim nie było; po trzech dniach szturchańców i łajań wybiegł z domu i nie pokazał się więcej.

— Skaranie boskie z tym chłopcem—zawyrokował teraz ojczym.

— Skaranie boskie — ciszej powtórzyła matka.

Pomimo wyraźnych zbrodni, żal jej było pierworodnego dziecka. Chciała biedz, szukać go po mieście, ale bała się tego uczynić, bo naprzód mąż obiecywał srodze obić Staśka, a potem mogła i ona sama co oberwać, gdyby postąpiła wbrew jego woli. Powiedział bowiem, że licha szukać nie potrzeba, bo się samo znajdzie, jak mu głód dokuczy.

Dokuczył on rzeczywiście biednemu dziecku, ale go do powrotu nie zmusił, bo jak chłopiec pomyślał, że trzeba mu będzie chleb zdobywać igłą krawiecką, to już wolał umrzeć od razu. Nie umarł przecież, a nawet dał sobie radę. Na bruku warszawskim istnieją rzemiosła niezbyt wprawdzie korzystne, ale które pozwalają żyć różnym wykolejonym istotom, zwłaszcza jeśli te posiadają spryt i ruchliwość. Takim rzemiosłem jest rozprzedaż *Kuryerów*. Wkrótce Stasiek w czapce, z błyszczącym napisem kręcił się po placach i skwerach, zachwalając swój towar.

Zajęcie to było jakby dla niego stworzone: mógł rozwijać przez parę godzin gorączkową czynność, potem siedzieć na słońcu, ile chciał, a nikt mu za to nic nie mówił. Był swobodny jak ptak, ale też znosić musiał złe strony ptasiego bytu, tułać się z gałęzi na gałąź, codzień zdobywać sobie własnym przemysłem pożywienie, i cierpieć głód, jeśli zdobyć nie zdołał.

Sprzedaż *Kuryerów* nie przynosi wielkich korzyści. Przedsiębiorcy powierzają chłopcom pewną ilość egzemplarzy, a ci na każdym mają tylko dwa grosze zysku. Sprzedających jest bardzo dużo, kupujących mało. Każdy zwykle prenumeruje sobie jakieś pismo, *Kuryery* kupują tylko wypadkowo przyjezdni ze wsi, lub ciekawi sensacyjnej nowinki, więc spieszyć się trzeba, aby ich pochwycić. Kto pierwszy zajmie swoje stanowisko, skoczy na stopień tramwaju, poda pismo, zachwali, ten ma największą nadzieję dobrego targu.

Stasiek zrozumiał to szybko i szybko też posiadł wszystkie tajemnice rzemiosła, tembardziej, iż rzemiosło mu zasmakowało.

Trzeba go było widzieć, jak zwinnie umiał wskakiwać do wagonu, na każde skinienie przejezdnych, jak czepiał się poręczy, przełaził koło ławek, zaglądając w oczy każdemu, jak odgadywał z ubioru, z ogorzenia twarzy, z wąsów nawet chętnych lub niechętnych kundmanów.

Kręcił się zwykle w okolicy Teatralnego placu, bo choć tam najwięcej sprzedających, ale też tamześrodkowywa się ruch miejski, tramwaje nieustannie przebiegają w różnych kierunkach i zatrzymują się dłużej, niż na innych stacyach.

Zwinny jak kot, rzucał się prawie pod koła wagonów, krzycząc z właściwem skandowaniem i akcentem głośniej od innych:

— *Kuryer warszawski*! *Kuryer codzienny*! *Kuryer świąteczny*!

Nie dał się nikomu wyprzedzić, zawsze wcześniej od innych ukazywała się na platformie jego drobna postać, a wielkie okrągłe oczy, wyglądające z pod spadających na nie włosów, szukały zmyślnym wzrokiem tych, coby chętni byli do kupna.

Przytem pomimo krótkiego pobytu w szkole, pomimo nieuwagi, figlów i czę-

biór przywraca potem nasze pierwotne wierzenia i wykazuje, że po za każdą grupą zjawisk znajduje się jakiś *nexus*, jedyna rzeczywistość niezmienna śród znikomych pozorów, dowiedliśmy jednak, że ten *nexus* pozostanie zawsze nieodgadniętym dla świadomości. A gdy nadto rozważymy, że czynności, składające naszą świadomość, ściśle określone, nie mogą objąć czynności z poza swych granic, więc te wydają się nieświadomemi—pomimo że wytwarzanie jednych przez drugie zdaje się wskazywać tożsamość sił natury. Ta konieczność, skłaniająca nas do przyjęcia określeń wewnętrznej energii dla siły zewnętrznej nadaje wszechświatu raczej spirytualistyczny niż materyalistyczny pozór. Rozmyślając jednak dalej, musimy uznać prawdę, że pojęcie dane nam przez objawy zjawiskowe o tej ostatecznej energii nie może w żaden sposób objaśnić nam, czem ono jest.

Podczas gdy wierzenia, do których doprowadziła nas nauka analityczna, nie naruszają objektywnej treści religii, tylko ją przeobrażają, nauka w swej konkretnej formie, rozszerza zakres uczuć religijnych. Od jego najpierwszych początków postępowi wiedzy towarzyszyła wzrastająca zdolność podziwiania. Najmniej rozwinięci dzicy, okazują najmniej podziwu na widok znakomitych wyrobów sztuki — zastanawiają podróżnych swą obojętnością. A cudowność najwspanialszych zjawisk natury oddziaływa na nich tak mało, że wszelkie poszukiwania w tym względzie uważają za dziecinną zabawkę. To przeciwieństwo w układzie umysłowym pomiędzy wyższemi a niższemi istotami ludzkiemi odpowiada różnicy, jaka zachodzi śród rozmaitych warstw wyższych istot ludzkich. Dla chłopa, rzemieślnika, przemysłowca, wylęganie się piskląt jest objawem zwyczajnym, ale nie dla biologa, rozbierającego najdrobniejsze zjawiska życiowe i który z najwyższem zdziwieniem bada pod mikroskopem atomy protoplazmy, ukazujące mu życie w jego najprostszej formie i dające do zrozumienia, że jakkolwiekbądź wytłomaczy ten proces, działanie sił pozostanie nieodgadnionem. W umyśle zwyczajnego turysty lub strzelca dzikich kóz widok wąwozu śród wysokich szczytów gór nie obudzi innych myśli, jak odnoszące się do polowania lub malowniczości krajobrazu — lecz inne nasunie geologowi. Ten, widząc, że skała, pokryta lodowcami, nie straciła pod wpływem zmian powietrza więcej niż pół cala ze swej powierzchni od czasu o wiele poprzedzającego początek ludzkiej cywilizacyi, i usiłując wyobrazić sobie powolne znikanie, które wyżłobiło całą dolinę, rozmyśla o czasie i działających siłach, o czem tamci nie mieli pojęcia. A myśli ich, już i tak nieodpowiednie przedmiotowi, wydadzą mu się jeszcze płytszemi, gdy zauważy wokoło siebie wężykowato porozrzucane pokłady gneissu, świadczące o epoce niezmiernie dawnej, kiedy, znajdując się poniżej powierzchni ziemi, były w stanie napół płynnym, a dalej o epoce jeszcze odleglejszej, gdy składające je cząstki były piaskiem i mułem na brzegach jakiegoś odwiecznego morza. Nie u pierwotnych ludów, przypuszczających, że niebo wspiera się na wierzchołkach gór, ani u dzisiejszych spadkobierców ich kosmogonii, powtarzających, że „niebo głosi chwałę Boga" możemy znaleść najrozleglejsze pojęcie o wszechświecie i największy podziw, wywołany rozmyślaniem o jego przestrzeniach. Doznaje go astronom, dopatrujący w słońcu masę tak ogromną, że w jednej z jego plam ziemia nasza mogłaby się zanurzyć z łatwością, nie dotknąwszy jej brzegów, a przy pomocy udoskonalonego teleskopu odkrywający mnóstwo takich słońc, wiele z nich daleko większych nawet.

W przyszłości, jak bywało dotąd, wyższe uzdolnienia i głębsze poglądy podniosą raczej niż zniżą to uczucie. Dziś najpotężniejszy i najwykształceńszy umysł nie posiada ani dostatecznej nauki, ani zdolności, by określić w myśli ogół rzeczy. Zajęty jednym lub drugim działem natury, uczony badacz zwykle nie zna o tyle innych działów, aby chociaż powierzchownie pojąć rozległość i zawiłość ich zjawisk, a przypuszczając nawet, że jest dostatecznie obznajmiony z każdym z nich, nie może jednak wyobrazić ich sobie jako całości. Rozleglejszy i potężniejszy rozum może dopomódz mu kiedyś do wyrobienia sobie choć niepewnej świadomości o nich, w ich składzie. To samo zupełnie możemy powiedzieć o nierozwiniętem muzykalnem uzdolnieniu. Prostą melodyę oceni, lecz nie uchwyci rozmaicie powikłanych pasażów i tonów symfonii, zachwycającej muzyków, a dla niego niezrozumiałej. Podobnie bieg rzeczy dziś pojmowany częściowo zaledwie, może stać się zrozumiałym w całości — dla przyszłej, bardziej rozwiniętej inteligencyi, wraz z powstaniem uczuć o tyle wyższych od obecnych uczuć cywilizowanego człowieka, o ile one przewyższają uczucia dzikiego.

Rozbiór naukowy prawdopodobnie nie osłabi lecz wzmocni te uczucia, a zmuszając człowieka do agnostycyzmu, skłania go jednak ciągle do wynalezienia jakiegoś rozwiązania Wielkiej Zagadki — o której wie, że jest niezgłębioną. Zwłaszcza, gdy przypomni sobie, że wyrażenia początek i koniec, przyczyna i cel są względnemi, właściwemi umysłowi ludzkiemu, lecz zapewnie nie mającemi żadnego związku z Ostateczną Rzeczywistością, przewyższającą myśl ludzką — i gdy pomimo przypuszczeń, że słowo wyjaśnienie zastosowane do tej Ostatecznej Rzeczywistości nie posiada znaczenia, zniewolonym jest jednak myśleć, że wyjaśnienie być musi.

Ale wpośród tajemnic tem bardziej zagadkowych, im więcej rozważanych pozostanie mu jedna bezwzględna pewność, że znajduje się zawsze wobec Nieskończonej i Wiecznej Siły, początku wszystkich rzeczy.

. . . .

Wywody Spencera opatrzymy ze swej strony jedną tylko uwagą: są one nową próbą zamknięcia nowego ziarna w starej skorupie, w której ono się nie mieści. Że ciężki wyklad utrudnia krytykę tej pracy — czytelnik zapewne już sam zauważył. W takie ciemne teorye chowają się zwykle filozofowie, którzy, dotykając zagadnień trudnych i powikłanych, chcą się ukryć i zabezpieczyć zarówno przed mściwą dłonią prawomyślności, jak i przed szyderczym uśmiechem ateizmu.

---

stych z niej ucieczek, nauczył się czytać wcale nie źle, i tej umiejętności używał teraz korzystnie.

Zaledwie dostał *Kuryer*, przebiegł jego wszystkie szpalty i rubryki, stosując z niepospolitą zręcznością ich zawartość do usposobień ludzkich. Przy wprawie stał się znakomitym fizyognomistą, nie domyślając się tego naturalnie. Kiedy spojrzał na poważnego jegomościa, zachwalał mu nabożeństwa, kiedy miał do czynienia z młodym, wyciągał głośną awanturę i dlatego to wołał na przemiany:

— *Kuryer* z odpustem, *Kuryer* z samobójstwem, *Kuryer* z wypadkiem.

Kiedy zaś, dzięki nadzwyczajnym okolicznościom, pisma brukowe dawały jaką ilustracyę lub karykaturę, wówczas krzyczał:

— *Kuryer* z dowcipem, z portretem, ze sławnym zbójem, z powodzią, z pożarem.

A zawsze umiał trafić do smaku osoby, której chciał towar swój sprzedać, często nawet zamiast dziesiątki dostawał dwanaście groszy, zdarzały się i dwudziestówki.

Chłopiec jednak, wierny swemu usposobieniu, zarobione pieniądze wydawał co do grosza, nie bacząc na to, że jutro może być dniem posuchy. Podobne przewidywanie nigdy mu na myśl nie przyszło.

— Ten Stasiek to zawsze dwa razy więcej zarobi, niż my — skarżyli się inni chłopcy.

— Owa! wielka mi sztuka, abo ty umiesz czytać, powtarzasz tylko po mnie, co ja krzyczę — odpowiadał dumnie, spoglądając z góry na towarzyszów, którzy jego zarobków nie mieli.

— Ten Stasiek, tylko spojrzy, to upatrzy sobie zaraz takiego, co mu da dychacza, a jak się po nim zawinę — to nic i nic.

Tak mówił najstarszy z całej bandy.

Staśkowi nigdy odpowiedzi nie brakło.

— Ty bo zawsze zerkasz po pannach — dybała ci co z tego przyjdzie. Czy to panna *Kuryera* kupi, czy co? Gadają, że kobiety ciekawe, abo to prawda? Żebym niewiem jak zachwalał to ci tylko słuchają, a pieniędzy żałują.

Z tego zapewne powodu Stasiek kobiet nie lubił, nie miał od nich żadnego zarobku, a potem... potem miał może żal do matki, co go zostawiła na łasce losu.

To też, kiedy sprzedawał *Kolce* lub *Kuryera świątecznego*, przepatrywał je pilnie, a skoro tylko znalazł jaki koncept na kobiety, powtarzał go głośno. Przekonał się bowiem, że takie zwykle najwięcej miały pokupu, więc, zachwalając pismo humorystyczne, dodawał:

— *Kolce* z nauką, jak to pięknie panie mężów oszukują.

Albo:

— *Kuryer świąteczny* bardzo ciekawy. Co się dzieje na letnich mieszkaniach.

Koncepty na mężczyzn, stanowiące odwrotną stronę małżeńskich stosunków, pomijał zwykle pogardliwem milczeniem.

Do rodziców nie próbował się zbliżyć i oni go też nie szukali. Kumoszki wprawdzie mówiły jego matce:

— Pani Antoniowa, wasz Stasiek sprzedaje gazety, biega po tramwajach.

Ona chciała zapytać gdzie go widziano, jak wygląda, jak mu się powodzi? Ale mąż jej mruknął niechętnie:

— A niech tam sobie robi co chce, my o tym urwisie już wiedzieć nie chcemy.

I matka umilkła. Nie miała ona takiej swobody jak zwykle żony rzemieślników, kiedy mężowie chodzą na robotę. Krawiec nie ruszał się z domu, szyjąc ciągle, nie mogła więc wyjść niepostrzeżona, chłopca zawołać, zgotować mu co, nakarmić, lub wetknąć w rękę. A przytem bała się mężowi sprzeciwić.

Stasiek ze swojej strony był hardy. Raz w niedzielę widział, jak matka z ojczymem szła pod rękę na spacer. Zrobiło mu się dziwnie na sercu, chciał biedz do nich i już nawet postąpił krok naprzód.

Ale matka go nie zobaczyła, miała właśnie głowę odwróconą, spostrzegł go tylko ojczym, a ten zamiast zachęty pogroził mu pięścią, spoglądając surowo. Może miał słuszność, chciał, żeby pasierb wyszedł na człowieka.

Chłopiec stanął jak wryty, łzy cisnęły mu się do oczów, przecież nie dał im spłynąć, wykręcił się na pięcie, poleciał parę kroków, pokazał język ojczymowi z wybuchem dziecinnej złości, i uciekł, bo pomimo to czuł, że go coś dławiło.

(D. n.).

W. Marrené.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, sierpień.

Schliemann odkrył Troję, a pan Karpeles zapomnianą książkę Moltkego o Polsce. — Treść ogłoszonego jej początku. — Laveleye'a listy o Włoszech. — Korespondencya Cavoura. — Pamiętniki A. Meissnera: Chopin, Skrzynecki, Mickiewicz.

„Ogrzebawszy śród miliona zapomnianych książek jedną bardzo ciekawą, jak Schliemann Troję, szczycę się, żem odkrył *opus primum* autora, którego potomność czcić będzie nietylko jako bohatera na polu bitew, ale i na polu piśmiennictwa.“ Temi słowy p. Gustaw Karpeles, w świeżo ogłoszonym zeszycie miesięcznika *Vom Fels zum Meer* budzi z półwiekowego zapomnienia młodociany utwór najpierwszego wodza niemieckiego, feldmarszałka Moltkego.

Kto jest p. Karpeles, o tem, zdaje mi się, czytelnicy *Prawdy* wiedzą, a jeżeli zapomnieli, to im przypomnę, że jest to młody literat niemiecki, umiejący dobrze po polsku i często o Polsce i polakach sympatycznie piszący. Niedawnemi czasy czytaliśmy dość zręczną charakterystykę T. T. Jeża przez niego skreśloną, o której w swoim czasie, jeśli się nie mylę, w listach moich wspominąłem.

Zapewne, ciekawa to rzecz, pierwsza praca literacka najpierwszego stratega epoki naszej; ale tem ciekawsza i tem dla nas większego znaczenia, że dotyczy Polski. Młody oficer pruskiego sztabu generalnego, zajęty pracami topograficznemi na Szląsku i w Poznańskiem, widząc i słysząc ogromne zajęcie, wywoływane naówczas sprawą polską (było to w roku 1832), spotykając w Niemczech mnóstwo rozbitków powstania polskiego, obznajomiony doskonale ze stosunkami Wschodu, bo pilnie śledził przebiegu dopiero co zakończonej wojny rosyjsko-tureckiej, zapragnął poznać bliżej dzieje narodu, którego męstwo i klęski tak żywo zajmowały wtedy całą Europę i zabrał się do tego z właściwą sobie gruntownością: przeczytał najlepsze ówczesne dzieła o historyi polskiej—Rulhièra, Ferranda, Jekla, Lenarda Chodźki i inne — streścił i zaokrąglił je w myśli, powiązał przyczyny i skutki węzłem logicznym i napisał, bez gniewu i uprzedzenia, szkic niewielki, ale pełen treści i rozwagi, nadał mu tytuł „Obraz stosunków wewnętrznych i stanu społecznego Polski“ i ogłosił w Berlinie, r. 1832, na kilku arkuszach druku *).

„Rozprawka ta—powiada p. Karpeles—należy do najświetniejszych szkiców historyczno-politycznych naszej literatury... Gdy foliały i tomy niemieckiej erudycyi profesorskiej o *finis Poloniae* zaginą, mała ta książeczka ocaleje i przyszłym czasom poda wiadomość, jak się najgłębsze umysły Niemiec zapatrywały na tę katastrofę, z jaką miłością i życzliwością spoglądały na biedny kraj ten i szlachetne plemię jego mieszkańców.“

Słowa te umyślnie w cudzysłowach przytaczam, bo wypowiedziany w nich pogląd na pierwszą pracę pisaną znakomitego wodza niemieckiego chcę pozostawić na odpowiedzialności p. K., który niewątpliwie całe to studyum już czytał; ja zaś poznałem dopiero początek jego, ile jest ogłoszony na kilkunastu stronnicach wyżej wymienionego miesięcznika, gdyż biblioteki tutejsze nie posiadają wydania z r. 1832.

*) Po niemiecku: *Darstellung der inneren Verhältnisse und des gesellschaftlichen Zustandes in Polen*, 6½ arkuszy w 8-ce w., u Finckego. Słusznie dziwi się p. Karpeles, że tak liczne i szczegółowe życiorysy niemieckie Moltkego ani słówkiem o tem dziełku nie wspominają; myli się jednak, twierdząc, że go katalogi nie znają: wielki Bücher-Lexicon Schultza (Heinsiusa) wymienia je pod rokiem właściwym.

Szkic swój rozpoczyna Moltke od bardzo trafnej charakterystyki szlachectwa polskiego. Nigdzie — powiada — charakter szlachty nie zrósł się tak ściśle z krajem, a losy kraju nie splotły się tak nierozerwalnie z charakterem, usposobieniem i obyczajami szlachty, jak w Polsce, bo nigdzie jak tam szlachectwo z krajem tak dalece się nie utożsamiło... Polska była rzeczpospolitą, złożoną z 300,000 małych państewek, z których każde zostawało w bezpośredniej styczności z państwem, ulegało tylko ogółowi i nie uznawało żadnych stosunków lenniczych, żadnej zależności feudalnej. Szlachcic, nawet na służbie zostający, miał się za równego panu swojemu. I w tem główna różnica ustawy polskiej od państw feudalnych Zachodu i od despotyzmu oryentalnego: to też ze zdumieniem się widzi, że Polska przechowała w sobie najdawniejsze prawa celtów, franków i gotów aż po za wieki średnie.

Autor opowiada w dalszym ciągu, bardzo zwięźle, ale dosadnie i jasno: o równości szlacheckiej, o *liberum veto*, królu, senacie, ministrach, konfederacyach, zajazdach, sejmie, wojsku; opisuje rycerską dzielność i prostotę życia szlachty w końcu wieku XV i stopniowy jej upadek późniejszy. „Stare prawa—powiada—trwały, ale obyczaje się zmieniły; a ponieważ żadne prawo nie może się ostać, będąc w sprzeczności z obyczajami, więc trwały tylko formy, w które coraz nowe znaczenie wsuwano: było to nieszczęście, na które ustawa żadnych sposobów nie posiadała, bo ją to właśnie ono podkopywało.“

Nieszczęśliwe te wpływy upatruje autor w niepomiernym rozroście dóbr magnackich, w rozmnożeniu się klasy ubogiej, od panów zależnej szlachty, w systematycznem osłabianiu władzy królewskiej przez panów duchownych, świeckich i wogóle przez stan rycerski, rozszerzeniu granic przez połączenie się z Litwą i Rusią, w paktach z królami elekcyjnymi, w *liberum veto*, w niepraktycznem urządzeniu przedstawicielstwa narodowego, w zatargach religijnych, ucisku chłopów (o którym mówi obszernie), zaniedbaniu przemysłu, upadku miast i handlu, rozmnożeniu się i roli żydów, w zaniedbaniu wojska i „w niemożności prawnego wykonywania żadnej władzy.“ „Dawniej wzniosła się była Polska do pewnej wysokości cywilizacyi; ale odkąd szlachta, dla zabezpieczenia sobie zupełnej niezależności, odarła rząd z wszelkiej powagi, odkąd naród pozbawił sam siebie możności stanowienia praw na drodze legalnej — stanęła na jednym punkcie, a gdy kraje ościenne o całe wieki ją wyprzedzały, ona o tyle właśnie wieków w tyle za niemi pozostała.“

Na tem się kończy dotychczas ogłoszony urywek szkicu Moltkego. Nie mówiąc już o piękności stylu, którą słusznie p. Karpeles podnosi, w ustępie dotąd wydrukowanym widać niepospolitą bystrość poglądu i trzeźwe a bezstronne sądzenie wypadków. Oczekujemy końca, bo ten prawdopodobnie będzie najbardziej zajmującym i da dopiero możność wydania sądu o całości. Zdawałoby się mnie, iż należałoby książeczkę tę spolszczyć, dodając sprostowania błędów w datach, nazwiskach i przytaczaniu niektórych faktów, choć bowiem p. Karpeles w przypisie zapewnia, że zna dokładnie stosunki polskie, jednak w tej części rozprawy Moltkego, którą ogłosił, znajduje się niemało podobnych pomyłek.

Innego rodzaju zajęcie budzi świeżo ogłoszone dziełko znanego ekonomisty Laveleye'a p. t. *Nouvelles lettres d'Italie*. Książeczka niewielka, pozór skromny — listów z kilkutygodniowej wycieczki do Włoch, ale treść daje daleko więcej, niż to pozory zapowiadają. Autor zna doskonale Włochy z dawniejszych podróży, zestosunkowany jest z najlepszymi ekonomistami i najznakomitszymi ministrami kraju tego, a przytem opowiadać umie dostępnie i zajmująco. Na paruset stronnicach listów swoich podaje wyborny a prawdziwy obraz wewnętrznego stanu Włoch w najnowszej dobie. Maluje smutny stan klas pracujących i południowych prowincyj półwyspu w barwach dość ponurych; wyjaśnia i tłomaczy ruchy socyalistyczne w Romanii; wiele dobrego mówi o patryotyzmie i zabiegliwości inteligencyi włoskiej, która czyni niezmierne wysiłki, aby polityczne odrodzony kraj swój wzmocnić ekonomicznie i finansowo; broni włochów od rozpowszechnionego zarzutu niedołęstwa i lazarońsiwa; chwali duchowieństwo medyolańskie i weneckie za to, że sprzyja postępowi i światłu; podnosi zasługi znacznej części arystokracyi, która nie chce skostnieć w feudalno-klerykalnym mroku duchowym, lecz owszem, dąży dzielnie za postępem i czasem go nawet śmiałością pomysłów prześciga. Dowiadujemy się też bardzo ciekawych szczegółów o fundacyi sławnego rzeźbiarza Canovy, który będąc synem wieśniaka, gdy już dorobił się wielkiej sławy i fortuny, zamieszkał w wiosce rodzinnej, był za życia i po śmierci jej dobroczyńcą, zapisując ogromny fundusz na szkoły, banki i gmachy publiczne w okolicy, która kolebkę i mogiłę jego widziała. Autor prowadzi i zapisuje w listach długie rozmowy o polityce wewnętrznej i zagranicznej Włoch z Depretisem, Minghettim, Sellą i innymi kierownikami narodu: wszystko to bardzo ciekawe, czasem zupełnie nowe i nieznane. Laveleye, jak wiadomo, jest zwolennikiem stanu pokojowego, dobrobytu klas roboczych, wolności i postępu; otóż sąd jego o Włoszech, na tych probierzach formułowany, daleko więcaj poucza i objaśnia od stronniczych opisów gazeciarskich, szczególnie klerykalnych. Wszystkim miłośnikom prawdy i pouczającej, choć nie nużącej lektury, śmiało polecam tedy listy włoskie profesora belgijskiego.

Mówi on w nich, pomiędzy innemi rzeczami, o świeżo ogłoszonych listach Cavoura, przytacza z nich ustępy, godne wielkiego założyciela jedności włoskiej, z których widać, że zagadnienia społeczne już go zajmowały przed laty kilkudziesięciu, pomimo że cała myśl skupiała się na akcyi politycznej. Obecnie listy te wyszły w przekładzie niemieckim Bernardiego*). Obejmują one okres od r. 1821 do 1858; gdy się je czyta, mówi Montégut, to w oczach dziś żyjącego pokolenia, Cavour nie karleje, ale olbrzymieje; a minister Sella powiedział niedawno, że wielki ten rodak jego jest jak pasmo gór wysokich, które tem wyżej nad powierzchnią wznosić się zdają, im się więcej od nich oddalamy.

Czy takim za lat kilkadziesiąt ukaże się potomności poeta, dramaturg i powieściopisarz austryacki, Alfred Meissner, o tem nie śmiem przesądzać. Nie czeka on, iżby przyszłe pokolenia zbierały listy i opisywały żywot jego, lecz sam za życia ogłasza swe pamiętniki**). Ładnie napisane i zajmujące, tego zaprzeczyć nie można, bo też burzliwe, koczujące życie poety niemało wątku do wspomnień nasuwało. Skazując się od r. 1846 na dobrowolne wygnanie z Czech (urodził się w Cieplicach), zwiedził dużo świata i poznał niemało znakomitych ludzi. W Paryżu zbliżył się z Heinem, to też wiele o nim pisał już dawniej i obecnie w pamiętnikach dużo opowiada. W r. 1836 był w Karlsbadzie i u pani B...ej, na wieczorze, słyszał grającego Chopina. „Rodacy świetnie go przyjmowali... Gra jego dziwnie była delikatna; niby bezładnem marzeniem mnie się wydawała. Robiła wrażenie, jak gdyby Chopil nie trzymał się żadnego taktu ani tempa; to porywał się, to wstrzymywał; muzyka jego wyglądała jak płomień pod prądem po-

*) Camillo *Cavours Briefe*, dwa tomy. Lipsk, 1884.

**) *Geschichte meines Lebens*, dwa tomy. Wiedeń i Cieszyn, 1884.

wietrza, to bujnie się iskrzący, to zdający się gasnąć“ (I, 100).

W dalszym ciągu pamiętników znajdujemy niemiłe dla nas szczegóły o polakach w Karlsbadzie około r. 1840: używali oni tam (nie wiem, czy i dziś używają) opinii ludzi bardzo miłego towarzystwa, ale nierzetelnych w płaceniu należności i zawsze przebywających trudności pieniężne (I, od 153).

Mieszkając w Pradze, Meissner poznał się z generałem Skrzyneckim, który tam lat kilka po r. 1831 przebywał. Odwiedzał on z rodziną dom rodziców młodego naówczas studenta medycyny i poczynającego poety. „Od dzieciństwa — powiada M. — przywykłem spoglądać nań z trwożnem poszanowaniem, bo też wyniosła, wspaniała postać jego, otoczona urokiem nieszczęść, piękne oblicze, pełne smutnej, melancholijnej powagi, o spokojnych, tęsknych oczach i delikatnie wykrojonych ustach, imponujące wywierać musiały wrażenie na takich nawet, którzy zgoła ani umieli, ani mogli ocenić zasług tego męża. Generał z wysokiego stanowiska swego nic nie uratował i był prawie ubogi. Żył z roku na rok, pod dozorem policyjnym; nie wolno mu było wydalać się za obręb Pragi, a nawet na wyjazd do wód karlsbadzkich musiał „prośbę podawać.“ Z niepokojem rozbitka, który ciągle w dal spogląda i gotów jest w każdym obłoczku na widnokręgu widzieć żagiel nadciągającego okrętu, spędzał życie na ciągłem oczekiwaniu. Razu pewnego oddano nam liścik: zawierało się w nim pożegnanie. Generał opuścił potajemnie Pragę i Austryę. Wielki to rozruch wywołało u nas, bośmy dlań byli życzliwi. „Musi to być w związku z wypadkami, które się gotują.“ powiedział mój ojciec, wznosząc palec do góry. Przeżyliśmy kilka dni w wielkim niepokoju, obawiając się, że go złapią uciekającego. Ale policya austryacka dowiedziała się o ucieczce jego dopiero z dzienników belgijskich i francuskich; po długich staraniach, pozwolono rodzinie za nim podążyć. Wiele o tem mówiono, czyniąc różne domysły. Nie sprawdziły się jednak one, pokój nie został naruszony, a Polska, po Grochowie i Ostrołęce, zdawała się pogrążoną w śmiertelnem znużeniu.

W kilka lat potem, dnia pewnego przechadzałem się po ogołoconych z liści alеach parku brukselskiego, gdy w tem jakiś wysoki, poważny pan, przechodząc z pieskiem koło mnie, stanął i przemówił:

„Moja pamięć lepszą jest jak się zdaje od pańskiej.“

Teraz dopiero przyjrzałem się pięknemu, poważnemu obliczu i pomimo siwizną, któród czasów praskich pokryła głowę generała, poznałem go zaraz. Tłomaczyłem się, jak mogłem, żem go dotychczas nie odwiedził. Wieczorem poszedłem do jego mieszkania, na dole, na ulicy des Cerfs. Było ono bardzo skromnie umeblowane, jak prawdziwa emigrancka kwatera, której się nie ozdabia w nadziei prędkiego opuszczenia. Ogień na kominie wygasł, nie ogrzawszy pokojów; na ścianie wisiał duży czarny krucyfiks. Wyszła pani generałowa i piękna, jasnowłosa Jadwisia; ujrzałem znowu na stole samowar z imbrykiem i cienkie grzaneczki z masłem, które dawniej, kiedym był chłopcem, nigdy mię nakarmić nie mogły.

Gdybyż się na herbacie i grzaneczkach skończyło! Wszedł generał i zaledwieśmy usiąść zdążyli, zabrzmiała groźna, dawno oczekiwana perora:

„Czytałem wiersze pańskie*), ale z jakiemże uczuciem! Popadłeś w szpony szatana! Poważyłeś się napaść na wieczną, jedyną instytucyę, na kościół rzymski? Nieszczęsny! O gdybymże mógł oczy ci otworzyć i duszę twą ku zbawieniu skierować!“

„Alеż Janie, przerwała mu żona, zapominasz, że przyjaciel nasz wyrósł w zasadach protestanckich. Jakież ma papież dla niego znaczenie?“

Nic to nie pomogło. Generał zaczął dowodzić, że państwo i kościół są nierozłączne i że wszelka sztuka i poezya tylko w katolicyzmie natchnienie czerpać mogą; że reformacya jest dziełem szatana, że nosi w sobie zarodki niszczące, a ludy, ją wyznające, prowadzi stopniami do materyalizmu, bezbożności, panteizmu...

Przewidywałem to wszystko. Już w Pradze, obok swoich książek o sztuce wojennej, Skrzynecki pilnie czytywał De Maistra i Lammenais'ego, a Tomasza a Kempis nosił w kieszeni.

Jakiż niemiły wieczór! Jak żałowałem, żem poszedł. Ale cóż było począć? Sprzeczać się nie chciałem. Z bierną rezygnacyą ofiary, jak murzyn misyonarzowi, wszystko mówić mu pozwalałem. Powiedziałem tylko, aby uniknąć powtórzenia sceny, że jutro wyjeżdżam!

Nadeszła nareszcie godzina, kiedy, bez obrazy przyzwoitości, mogłem się wycofać. Ale przy pożegnaniu wzruszyło się poczciwe serce generała. Obyczajem polskim ucałował mię w oba policzki, pożegnał i wyraził najlepsze życzenia.“ (I, od str. 198).

Na końcu tomu pierwszego (245) spotykamy krótką a smutną wzmiankę o Mickiewiczu. Autor pamiętników był r. 1846 w Paryżu na prelekcyi Micheleta, którą dosłownie zapisał i tutaj powtarza; poczem tak ciągnie dalej:

„W kilka dni potem poznałem dawnego kolegę Micheleta, poetę Adama Mickiewicza. Mieszkał daleko, w Batignolles, na ulicy du Boulevard, nr. 12, na dole, w mieszkaniu, noszącem wszystkie cechy ubóstwa i opuszczenia. Pewno że u Miltona nie gorzej wyglądało! Postać największego po wszystkie czasy poety słowiańskiego najsmutniejsze wspomnienie mi pozostawiła. Mickiewicz miał dopiero rok czterdziesty ósmy, ale wyglądał zupełnie zestarzały. Było to w lutym; przechadzał się po ceglanej posadzce nieopalanego pokoju w ogromnych butach filcowych. Przed dwoma laty postradał był katedrę języków słowiańskich w Collège de France. Ubóstwo, prześladowanie, nieszczęścia domowe doprowadziły go do takiego stanu, który naprawdę bliskim pomieszania się zdawał. Rozmawiałem z nim po francusku, ale musiał rozumieć i po niemiecku, bo tylko co czytał mojego *Zyżkę*, którego mu udzielił rodak jego, Chojecki. Potem mówił o Polsce i twierdził, że jest stara przepowiednia: że Polskę zbawi mąż, którego imię składa się z czterdziestu jednej litery; założy on związek 41 miast i stworzy wojska z 41 legionów. Mickiewicz zdawał się mocno wierzyć w tę niedorzeczność i dodał, że zbawiciel ten już się urodził. Wreszcie dał mi dzieło swoje *Le Messianisme*, w którem Napoleona za coś nakształt zbawiciela uważa. Tak samo jak i współczesny mu znakomity poeta Słowacki, uczynił na mnie wrażenie bardzo nieszczęśliwego człowieka.“

Wypisałem bliżej obchodzić nas mogące ustępy pamiętników Meissnera bez żadnych komentarzy. Dodać winienem, że przeczały tom pierwszy przewija się smutna historya pierwszej miłości poety; przedmiotem jej była polka, piękna Celina B., u której matki Meissner słyszał Chopina; poznał ją jako śliczną brabankę w Karlsbadzie, a potem, po wielu latach, spotkał w Paryżu na ostatnim stopniu upadku, na jaki kobieta zeslizgnąć się może. Ile to wszystko jest *vero*, a ile *trovato*, tego nie wiem: nic nieprawdopodobnego jednak dopatrzeć tu nie można. W tomie drugim wiele jest ciekawych szczegółów o parlamencie słowiańskim z r. 1848, Bakuninie, Hercenie itd.

Jan Karłowicz.

*) Mowa o poemacie *Zyżka* (Ziska) Meissnera, prześladowanym naówczas w Austryi za dążność antypapieską; z powodu tych prześladowań, młody poeta musiał nie tylko Pragę, ale później i Drezno opuścić i schronić się do Belgii.

Z GALICYI.

Lwów, 26 sierpnia.

Z dziennikarskiego zodyaku. — Zapowiedź nowego pisma.—Rąbek sztandaru.—Omyłka i skrucha. — Datek pół miliona na powodzian.—Ofiarność prywatna.—Czesi a węgrzy.—Serdeczność i ręce w kleszeniach.—*Toujour seuls*, obrazek rodzajowy.—Regulacya rzek.—Aneksya, czy rewindykacya?—Sejm i stylistyka.—Zjazd literacki odwołany.

Mój Boże! Tyle już razy ziemia obróciła się naokoło swej osi, a *Kuryer lwowski* około zasad swoich, tyle razy słoneczne promienie postępu wtargnęły do ciemnych komnat *Gazety narodowej*, aby je opuścić coprędzej, tyle razy wreszcie podpatrzył księżyc nieprzyzwoity romans *Dziennika polskiego* z reakcyą, a *Gazety lwowskiej* gorszące miłostki z liberalizmem — że, dziwiąc się tylko ofiarności, witam najserdeczniej pomysł utopienia kilkudziesięciu co najmniej tysięcy guldenów w nowem przedsiębiorstwie dziennikarskiem. Tak jest, kluje się nowo pismo polityczne na wielkie rozmiary, organ (tym razem rzetelnie) postępowy, wolnomyślny i demokratyczny. Kiedy zachody uwieńczone zostaną pomyślnym skutkiem i projekt zamieni się w rzeczywistość — dziś jeszcze powiedzieć nie umiem, wspominam o nim przecież już teraz, bo oprócz dobrej woli założycieli jest nadto inna rękojmia istnienia pisma —pieniądze, aktem notaryalnym zawarowane.

Zanim dochód nieść poczenie, a przynajmniej się opłacać, pochłonie nowa gazeta zapas monety spory. Ofiarni wydawcy przygotowani są na to i zdecydowani utrzymywać dziennik lat kilka — choćby dla kilkuset tylko prenumeratorów. A nie można będzie liczyć zrazu na abonentów, bo nowe ziarno dopiero grunt sobie wyrabiać musi, aby zakiełkować zdołało należycie i owoc wydać pożądany. Komu zaś znane są stosunki tutejsze, kto wie, że pismo codzienne potrzebuje u nas dwóch do trzech tysięcy prenumeratorów, aby się utrzymać przyzwoicie — łatwo zrozumie, że długo, bardzo długo orać, radlić i skrudlić wypadnie tę naszą, nietylko jałową, ale, co gorsza, zanieczyszczoną ziemię, zanim się ją wyprawi tak, aby pomoc z zewnątrz stała się dla oraczów zbyteczną.

Jakie stanowisko w sprawach krajowych zajmie nowy dziennik, jakie w ogólno-państwowych (austryackich), a jakie znów w ogólno-narodowej polityce, którego odłamu posłów sejmowych zapatrywań będzie wyrazem, a którego w Radzie państwa — dziś przedwcześnie byłoby jeszcze rozpowiadać. Tyle jednak wyjawić mogę, że barwa nowego pisma będzie dla tutejszego społeczeństwa zupełnie świeżą, to zaś pewnem jest i niewzruszonem, że będzie wyraźnie postępową.

Na tej krótkiej zapowiedzi rzeczy jeszcze niepewnej ograniczając się dzisiaj i do innych przeszkód przedwczesnem rozgłoszeniem szczegółowego programu nowej dodawać nie chcąc, przechodzę z dziedziny projektów do faktów. Otóż faktem jest naprzód, że *Fremdenblatt* wprowadził w błąd mnie, a ja za nim czytelników *Prawdy*. Któż jednak mógł przypuścić, że organ ministeryalny gorszą będzie miał informacyę, niżeli pisma galicyjskie? Dzienniki tutejsze doniosły, że rząd uchwalił pół miliona guldenów na powodzian galicyjskich, jako zapomogę bezpowrotną, a 300,000 jako pożyczkę. Pod tą samą datą przyniósł znów wiadomość organ ministra spraw zagrani-

cznych, że cała kwota 800,000 złr. udzieloną zostanie, tylko jako pożyczka. To drugie doniesienie wydało mi się prawdopodobniejszem. Tak dalece bowiem przywykłem do przykrych tylko wieści z Wiednia, że wolałem dać wiarę pismu półurzędowemu, niż gazetom krajowym, które zresztą niejedną już kaczkę zagoniły na podwórze naiwnego czytelnika. Zgrzeszyłem więc mimowoli, biję się jednak w piersi i kwituję rząd austryacki z odbioru tego pół miliona, który p. Karolowi w *Kłosach* łzę rozczulenia wycisnął z oka. *Entre nous soit dit* — jest to przecież w porównaniu do trzydziestu milionów szkody, zdaje się, trochę chyba mało...

Na kwotę, znacznie jeszcze mniejszą, bo zaledwie pięćdziesiąt kilka tysięcy guldenów wynoszącą, zdobyła się ofiarność nasza prywatna. Wliczono tu i datki z zagranicy, których znowu nie było tak wiele, aby warto dla nich tworzyć osobną rubrykę. Najwięcej stosunkowo dała bez proszenia poczciwa Praga czeska (2,000 złr. od Rady miejskiej) — najmniej, bo nic, węgierscy kuzynowie nasi (chyba po szklance!) z za Karpat, których *Kuryer lwowski* i ktoś tam jeszcze dosyć nawet natarczywie prosił o zapomogę. Zapowiadali jakieś zsypy zboża na dworcach kolejowych w Koszycach, Peszcie i Preszburgu — bodajby plew przysłali dla ginącego dobytku, ale i na to się nie zdobyli! A jak się to wdzięczyć umie po gazetach, a zazdrosnem okiem spoglądać, gdy czecha gościsz serdecznie na swojej ziemi... Ot wam, panowie polacy, „za naszą i waszą wolność!...“

Tak więc pozostawieni samym sobie — sami o sobie myśleć będziem musieli i radzić nad ulżeniem niedoli, w którą wpycha nas niemal co roku niesumienna gospodarka austryacka. Ogołociwszy z drzew góry nasze, nie troszczy się ona już teraz o to, co się dzieje z nadmiarem wody, dawniej przez lasy pochłanianym — płyną też sobie rzeczyska szumnie i hucznie, wzbierając po lada deszczyku i po za brzegi się rozlewając. Dwa lata temu właśnie, jak na tem miejscu, równie po świeżej powodzi, żaliłem się na brak już wszelkiego uczucia miłosierdzia urzędu, brak nawet roztropności politycznej, wyraziłem jednak nadzieję, że zwołany w tym czasie sejm, uchwaliwszy ponowną rezolucyę w sprawie uregulowania łożysk wodnych, doprosi się wreszcie czegoś i wolni już będziemy w przyszłości od grozy nowej klęski. Sejm zredagował rezolucyę, ba! i pieniędzy wyznaczył ze strony kraju znaczną kwotę — cóż, kiedy panowie w Wiedniu ważą sobie losy naszej prowincyi, niby Hercegowiny, albo Bośni, tak lekko, jak gdybyśmy byli „czasowo tylko anektowani,“ a nie — „rewindykowani.“ Owo i teraz zwołano znowu sejm, znowu palniemy sobie rezolucyę i znowu... Eh, bodajbym był fałszywym prorokiem!

Sesya sejmu tegoroczna będzie właściwie zrazu dalszym ciągiem tylko i zakończeniem poprzedniej, poczem w jednym i tym samym dniu nastąpi jej zamknięcie i równocześnie otwarcie nowej. Jest to koniecznem ze względu na regulamin, który nie pozwala na dwukrotne podniesienie sprawy w ciągu jednej sesyi. Chodzi tym razem o nowelę szkolną, zeszłego roku uchwaloną, a odrzuconą przez rząd dla błędnej i sprzecznej w sensie stylizacyi. Może się wam to wydaje niepodobnem do prawdy, żeby stu pięćdziesięciu ludzi, w których gronie są także profesorowie uniwersytetu, omylić się zdołało w rzeczy, tak łatwej na pozór, jak stylistyka. A jednak faktem jest, co powiadam. Tylkoż nie dziwcie się tak bardzo, bo — koń potyka się przecież, choć ma cztery nogi kute, a sejm nasz nie jest znowu tak tęgo kuty...

Niemal równocześnie z reprezentacyą krajową miał być zagajony we Lwowie drugi zjazd literacki. Daj mu Boże wieczne odpoczywanie! Dusza to czysta i niewinna, bo, nikomu na świecie krzywdy nie wyrządziwszy, skonała w żywocie matki jeszcze, w miesiącu — dziwna rzecz! — aż jedenastym od poczęcia... A takeśmy się radowali! Były-bo już nawet biuletyny po dziennikach, zapraszające na chrzciny... Kto jednak przysłuchał się baczniej, jak macierz postękiwała żałośnie, nie mógł sobie dobrej wróżby czynić. Nastąpiło rzeczywiście poronienie, czy jak to nazwać — zjazd literacko-artystyczny odwołany został stanowczo. A cóż Koło literackie — matka nieszczęśliwa jak się miewa? — pytacie pewno. Żyje jeszcze, żyje i kiwa głową...

Rewera.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 15 sierpnia.

Wycieczka wakacyjna młodzieży rusińskiej i jej znaczenie w życiu narodowem rusinów galicyjskich. — Zjazd rusińskiego towarzystwa pedagodzicznego w Stanisławowie, wniosek p. Kachnikiewicza i referat p. Wachnianina. — Wiec akademików rusińskich w Kołomyi.— Odczyty kobiet o kwestyi kobiecej. — Z publicystyki bieżącej: ograniczenia prasowe, psalm 108 i granice wolności słowa w Galicyi.

Jeżeli nie każde, to przynajmniej bieżące lato u nas zadało kłam oklepanemu frazesowi, nazywającemu je „porą martwą.“ Bezsprzecznie, pora tatysiącznemi klęskami natury wedle możności starała się przyczynić do uśmiercenia nas, sypiąc na biedną Galicyę, jak z rogu obfitości: i powodzie, i pożary (w ciągu dwóch miesięcy już piąte miasteczko prawie do szczętu zgorzało, a mianowicie: Gliniany, Szczurowice, Dukla, Kołaczyce i Halicz), i gradobicia; lecz rusini, ufając swojej starodawnej, fatalistycznej dewizie: „Ruś twerda, wse perebude“ znoszą jakoś te plagi, stękają wprawdzie i chylą się, lecz żyją i — co dziwniejsza — coraz jakoś więcej nabierają smaku do życia. Właśnie bieżąca skwarna pora przyniosła nam, obok wspomnianych uśmierceń, kilka i to bardzo wyraźnych i bardzo pocieszających objawów ruszania się, tak że nie dopełniłbym obowiązku kronikarskiego, gdybym tym objawom nie poświęcił osobnej, możliwie dokładnej wzmianki.

Pomijam tutaj dokonane jeszcze przed miesiącem w Kaluszu sprawozdanie poselskie p. Romańczuka, posła na sejm krajowy, jako fakt, chociaż nie pozbawiony znaczenia, lecz u nas obecnie dość pospolity i w przebiegu swoim niewybitny. Chciałbym obecnie zająć uwagę czytelników innym faktem, mniej zwykłym u nas, a mającym z różnych powodów donioślejsze znaczenie — t. j. wycieczką akademickiej młodzieży rusińskiej i połączonymi z nią zjazdem rusińskiego towarzystwa pedagogicznego w Stanisławowie oraz wiecem młodzieży akademickiej w Kołomyi. Wycieczka ta w rozmaitych kierunkach pozostawi po sobie na przyszłość błogie, dobroczynne ślady. Nietylko bowiem owo grono dobranej młodzieży, które w niej wzięło udział, przebywszy około 40 mil rodzinnego kraju, w znacznej części piechotą, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, zachwycając się pięknością przyrody, przypatrując się pilnie wszelkim pamiątkom i zabytkom, zaznajamiając się z ludem i inteligencyą każdej miejscowości, zawiązując żywe stosunki i wymianę myśli, przysłuchując się rodzinnej mowie, pieśniom i opowiadaniom w różnych stronach — grono owo musiało odnieść znaczne korzyści umysłowe, zapłonąć żywiej miłością dla swego kraju i ludu, a żyjąc przez kilka tygodni w podniośleszym nastroju, w nieprzerwanem podnieceniu sił fizycznych i umysłowych, odnieść na całe życie mnóstwo światłych i pouczających wrażeń; lecz i mieszkańcy tych okolic, przez które orszak przeciągnął, a osobliwie tych, gdzie nocował i przebywał dłużej, dając wieczorki, odczyty, deklamacye i zabawy towarzyskie, musieli również przy zetknięciu z tą masą żywej, rozbudzonej młodzieży ożywić się, podnieść duchem, nabrać chęci do dalszej pracy i większej otuchy na przyszłość.

Wycieczka rozpoczęła się dnia 27-go lipca w Drohobyczu, jednem ze znaczniejszych miast powiatowych Galicyi, leżącem u stoku Karpat. Tutaj odbył się tegoż dnia wieczorek muzykalno-deklamacyjny. Zapowiedzianemu wszakże odczytowi popularnemu Iw. Franka: „O początku, rozwoju i zniesieniu pańszczyzny w naszym kraju“ starostwo miejscowe sprzeciwiło się ze względu — uważcie — nie na przedmiot, lecz na osobę. Drugiego dnia zwiedzono znakomicie urządzone rolne żupy drohobyckie, istniejące jeszcze od XIV stulecia i udano się następnie do Borysławia, głównego ogniska naszego przemysłu naftowego, a raczej głównej i jedynej dotychczas kopalni wosku ziemnego.

W poprzedniej korespondencyi mojej wspomniałem o rozruchach żydowskich w Borysławiu, które wybuchły kilka dni przed wycieczką, i przyrzekłem podać później bliższe szczegóły. Właściwie nie są one tak ciekawe, jak ogólne przyczyny, które wywołały rozruchy. Przyczyny te polegają w ogromnem i niesłychanem pognębieniu robotników, których tutaj pracuje w kopalniach 5—8 tysięcy i w konkurencyi wielkich kapitalistów między sobą o jak największych wyzysk. Dopóki w Borysławiu gospodarowali sami żydzi, sprawa ucisku robotników prowadzoną była wspólnie i systematycznie przez wszystkich kapitalistów, chociaż i wtedy już objawiał się silny antagonizm między wielkimi kapitalistami a drobnymi; ci ostatni coraz więcej upadali, pożerani przez bogatszych swych jednowierców. Doszło wreszcie do tego, że główne kapitały Borysławia zlały się w ręku czterech czy pięciu firm. Ażeby jak najskuteczniej dokonać zniszczenia i wyparcia drobnych właścicieli „jam,“ owe firmy ułożyły się między sobą, podzieliły cały woskodajny grunt powietrznemi liniami na odpowiednią ilość dzielnic i rozebrały je między siebie. Firma, której dostała się taka dzielnica, ma w niej nieograniczone prawo wyzyskiwania robotników, a osobliwie usuwania drobnych właścicieli; żaden inny z uczestników zmowy nie może z nią współzawodniczyć. Zdarzały się wypadki, że do którejkolwiek z tych dzielnic wchodził nowy właściciel, nabywszy kopalnię lub grunt, jeżeli był chrześcianinem, mógł być pewnym ruiny: „zwierzchnik“ dzielnicy wszelkimi sposobami starał mu się dokuczyć, na jego „koszary“ wykonywano formalne napady, bito i rozpędzano jego robotników, łamano narzędzia, albo—co ciekawsze — z szybów zwierzchnika prowadzono tunele (czyli, jak tutaj zowią „sztolnie“) pod działkę nowego intruza i eksploatowano cudzą własność. Żadne skargi do sądów nie skutkowały, gdyż bogaci kapitaliści zawsze mają sposoby, by ujść bezkarnie — i biedny przybysz rad nie rad musiał porzucać Borysław ze stratą.

Lecz oto przed kilku laty zawitał do Borysławia nowy gość, który nieco pomieszał te szyki. Bogate w zasoby francuskie towarzystwo akcyjne dla dobywania nafty i wosku ziemnego zakupiło znaczny obszar na Wolance, przysiółku Borysławia, i urządziło kopalnię w sposób zupełnie europejski— racyonalny. Również i robotnicy, których nowa kopalnia zatrudnia (300 — 500), doznają nierównie lepszej opieki i pobierają uczciwą w porównaniu z innymi płacę. A gdy wreszcie towarzystwo na domiar wszystkiego zaczęło jeszcze wdzierać się od czasu do czasu w terytorym panów kartelowych, zakupując z wolnej ręki działki,

wtedy nienawiść, żywiona przez kapitalistów żydowskich, wybuchła potężnym płomieniem i ujawniła się w niedawnych krwawych rozruchach.

Rozpoczęli je sami żydzi, którzy wieczorem d. 20 lipca napadli na jednego robotnika z towarzystwa francuskiego, dopominając się u niego spłaty jakiegoś dawnego długu. Gdy ten na razie uiścić się nie mógł, zaczęli go bić. Na krzyk robotnika nadbiegli jego towarzysze i rozpędzili żydów. Tejże nocy powybijał ktoś okna w kilku żydowskich domach, a nawet w bóżnicy; to wywołało ogromne wzburzenie, tak że drugiego dnia rano tłum żydów (około 3 tysięczny), uzbrojony w drągi i kamienie, wyruszył ku koszarom robotniczym towarzystwa francuskiego. Wszczęła się okropna bójka, trwająca 4 godziny, w której około 30 robotników zostało ciężko pokaleczonych, z tych prawie połowa śmiertelnie. Z napadających żydów nikt nie odniósł silniejszego uszkodzenia. Dopiero na telegraficzne zawezwanie przybyła żandarmerya; lecz i wtedy jeszcze upomnienia nie odniosły żadnego skutku, a rozzuchwaleni żydzi rzucili się z kamieniami na żandarmów. To spowodowało konieczność użycia broni — dwóch żydów padło ranionych strzałami karabinowymi — i w tej chwili cały tłum z okropnym krzykiem pierzchnął na wszystkie strony. Zarządzono śledztwo w tej sprawie, mnóstwo uczestników aresztowano; lecz czy to naprawi iście okropne i oburzające stosunki społeczne borysławskie?...

Z Borysławia udał się orszak w góry, przez Schodnicę do Urycza, sławnego z t. z. bołd, t. j. skał ze śladami jakichś przedhistorycznych osad i fortyfikacyj. Są tu podziemne lochy, kute w kamieniu studnie czy cysterny, pokoje, schody, wreszcie ogromna murowana i potężnie sklepiona brama. Z Urycza przez Podhorce podążyli młodzi wędrowcy do starodawnej osady Koreżyna, gdzie odbyło się walne zgromadzenie członków miejscowej czytelni wiejskiej, a następnie wieczorek wokalno-deklamacyjny, otworzony obszerną przemową I. Franka: O początkach narodowego odrodzenia rusinów galicyjskich w latach 1772—1848. Dalej zwiedzono: Synowódzk, Bubniszcza, Bolechów, Kałusz, gdzie również dany był wieczorek, wreszcie Stanisławów, gdzie w pierwszych dniach sierpnia zjazd rusińskiej inteligencyi z bliższych i dalszych okolic, nauczycieli, młodzieży i księży z rodzinami był nadzwyczaj liczny.

Wśród niezwykłego ożywienia, wniesionego przez zgromadzoną młodzież, bardzo pomyślnie wypadł zjazd towarzystwa pedagogicznego w Stanisławowie. Towarzystwo to, zawiązane z inicyatywy zmarłego Włodzimierza Barwińskiego jeszcze po pierwszym narodowym wiecu rusińskim, od owego czasu nie mogło jakoś stanąć na nogi, rozwijało się dosyć tępo. Brak energicznych przywódców, którzy nie umieli doń przyciągnąć szerszego ogółu, był główną przyczyną zastoju. Nie można powiedzieć, żeby i obecnie brakowi temu w zupełności już zaradzono; mimo to jednak towarzystwo, mając na czele ludzi szczerych i pracowitych, jak prof. Suchiewicza, Wreciona i współpracownika *Diła* Kachnikiewicza, rozwijało się dość pomyślnie. Dopiero zjazd stanisławowski i powzięte na nim uchwały znamionują nowy okres w jego rozwoju. Towarzystwo wystąpiło tutaj jako instytucya narodowa, upomniało się o prawa ruskiego języka w szkołach wschodniej Galicyi, a, co najgłówniejsza, nie ograniczając się (jak polskie towarzystwo pedagogiczne) na pięknych frazesach patryotycznych, położyło podwaliny dla polepszenia ekonomicznego bytu nauczycieli wiejskich i zabezpieczenia ich osieroconych rodzin. Na wniosek p. Kachnikiewicza zjazd uchwalił założyć fundusz wzajemnej zapomogi dla nauczycieli, i ta uchwała, zdaniem mojem, stanowi rdzeń obrad, główną podstawę przyszłego wzrostu towarzystwa. Wspomnę tu jeszcze o znakomitym pod względem formy referacie p. Wachnianina: „Do kogo należą szkoły ludowe?“ P. Wachnianin, jeden z najzdolniejszych nauczycieli przy rusińskiem gimnazyum we Lwowie, utalentowany pisarz i kompozytor muzyczny, prześlicznie włada mową ukraińską; nie dziw więc, że odczyt jego, wykazujący braki obecnego systemu szkolnego, zrobił na wszystkich uczestnikach zjazdu głębokie i trwałe wrażenie.

W Stanisławowie uczestnicy wycieczki dali również wieczorek ze śpiewami i deklamacyami, o którym nawet miejscowi polacy wyrażali się, że tak licznego zebrania Stanisławów nie pamięta. Stąd udała się młodzież do Kołomyi, gdzie następnego dnia odbył się „wiec akademicki,“ to jest wspólna narada akademików - rusinów (około 120), uczęszczających do uniwersytetów: lwowskiego, wiedeńskiego, czerniowieckiego i krakowskiego. Zauważyć trzeba, że nasi „starowiercy,“ przemawiający słowami za „jednością Rusi,“ a czynami siejący niezgodę i rozbrat, zaprotestowali przeciw temu wiecowi swą—nieobecnością. Chodziły wprawdzie wieści, że ci panowie zamierzają wyprawić jakąś burdę, lecz do tego nie przyszło; wszystkie też narady odbyły się jak najspokojniej i całkiem odpowiednio do godności inteligencyi młodzieży akademickiej.

Tok ich był następujący. Słuchacz praw, Jarosław Kułaczkowski, powitał zgromadzenie krótką przemową, proponując na przewodniczącego dra Konstantego Lewickiego, którego zgromadzenie z oklaskami przyjęło. Następnie tenże Kułaczkowski odczytał sumiennie opracowany referat o obecnym stanie szkół średnich i wyższych we wschodniej Galicyi, wykazując, że według ustaw i wedle słuszności rusinom należy się większe uwzględnianie ich mowy w szkołach ich własnymi pieniędzmi opłacanych. Trzeba żądać:

1) zaprowadzenia ruskiego języka wykładowego we wszystkich gimnazyach i szkołach realnych wschodniej Galicyi,

2) dopóki zaś tego niema, zaprowadzenia w tychże szkołach oddziałów równoległych z ruskim językiem wykładowym,

3) zaprowadzenia ruskich wykładów na uniwersytecie lwowskim, a przynajmniej

4) obsadzenie tych katedr z ruskimi wykładami, które już obecnie wedle ustawy istnieją, a obsadzane nie są, i wreszcie:

5) utworzenia i uposażenia katedry ukraińskiej historyi na uniwersytecie lwowskim.

Zgromadzenie przyjęło te wnioski jednomyślnie.

Z kolei wystąpił słuchacz teologii Bohdar Kirczow i w dosadny sposób usprawiedliwiał konieczność zaprowadzenia dla ruskich teologów wykładów w mowie rodzinnej, zamiast dotychczasowej łacińskiej. Między innemi p. Kirczow oparł się na powagach kościoła i cytując np. św. Pawła po łacinie, dodał: „Cytuję po *łacinie*, bo jestem *ruskim* teologiem lwowskiego uniwersytetu“—co wywołało całą burzę oklasków. Dalej przemawiał p. Kumanorski, słuchacz uniwersytetu czerniowieckiego o potrzebie co rychlejszego obsadzenia katedry ruskiego języka i literatury na tymże uniwersytecie, gdyż z powodu słabości, a następnie śmierci prof. Onyszkiewicza katedra ta dwa lata już jest opróżnioną. Po nim zabrał głos p. Kobryński, słuchacz medycyny w Wiedniu, dowodząc potrzeby założenia wydziału medycznego przy uniwersytecie lwowskim. Z nadzwyczaj ciekawym i starannie opracowanym referatem wystąpił p. Eugeni Ozarkiewicz, słuchacz uniwersytetu wiedeńskiego, dotykając nader ważnej i żywotnej kwestyi — materyalnego bytu akademików-rusinów. Żądał on od rusińskich instytucyj narodowych gorliwszego i racyonalniejszego popierania uczącej się młodzieży. Wreszcie słuchacz uniwersytetu lwowskiego Mikołaj Szuksiewicz podniósł potrzebę założenia czasopisma naukowo-literackiego, któreby, odpowiadając potrzebom całego narodu ukraińskiego, jednoczyło dokoła siebie usiłowania i pracę młodzieży, nadając jej postępowy i z duchem czasu zgodny kierunek. Wiec zakończył się ciekawym i nieźle opracowanym odczytem Wasyla Poleńskiego, słuchacza medycyny w Wiedniu, o potrzebie większej oświaty i rozszerzenia praw obywatelskich dla naszych kobiet.

Wiec ten zrobił na całą Ruś halicką bardzo dobre wrażenie, utwierdzając to przekonanie, że młodzież rusińska myśli i pracuje poważnie, że obok interesów nauki ma zawsze i wszędzie na oku interes swego ludu i swej narodowości, że wyrasta w poglądach szczerze demokratycznych i szczerze postępowych. Nie mniej korzystne pozostawił po sobie wspomnienie wieczorek, na którym dwie kobiety-rusinki przemawiały o kwestyi kobiecej. Była to u nas nowość niesłychana, żeby kobieta występowała z odczytem; panny Podlarzecka i Nyczajówna dowiodły, że czas i rusinki o przyjęcie udziału w tej walce pokusił. Rozumnem słowem wytykała pierwsza z nich wady naszych kobiet, ciasny widnokrąg ich wiedzy i interesów, ich narodowy indyferentyzm i brak zmysłu dla wszystkiego, co wychodzi po za opłoty domowego ogniska, wskazując równocześnie na to szerokie i jasne pole pracy umysłowej, jakie zdobywa dla siebie kobieta w zachodniej Europie.

Panna Nyczaj zaś, czytając o „kobiecie w ukraińskich powieściach,“ stawiała za wzór typy postępowe, w rodzaju Rysi z powieści *Semen Żuk*. Miejmy nadzieję, że te debiuty będą hasłem do większego ożywienia i ruchu umysłowego pośród rusinek galicyjskich.

Na zakończenie jeszcze słów parę o niektórych objawach na polu publicystyki rusińskiej. Wogóle gazeciarstwo nie cieszy się sympatyą teraźniejszego rządu; nigdy jeszcze konfiskaty dzienników nie były tak liczne, jak za rządów Taaffego. Ostatnie czasy zamiast ulg przyniosły jeszcze większe ściśnienia. Dawniej, gdy artykuł jakiś skonfiskowano, redakcya dziennika wyrzucała zabroniony tekst (nieraz tylko parę, nieraz i kilkadziesiąt wierszy), pozostawiając resztę artykułu i puste miejsce; w bieżącym roku wydano przepis, że: 1) pustego miejsca w dzienniku po usunięciu artykułu zostawiać nie wolno; 2) artykuł, w którym chociażby tylko jeden wiersz uległ zakazowi, cały musi być bądź to zupełnie wyjęty, bądź też pod innym tytułem przerobiony. Przepisy te, na ustawie prasowej wcale nie ugruntowane, stały się ciężką plagą dla wszystkich redakcyj. Dowcipnie postąpił sobie raz *Nowyj Prołom*, zapełniwszy miejsce skonfiskowanego artykułu wstępnym psalmem 108, który, jak wiadomo, mieści w sobie taką masę najczarniejszych przekleństw, że nawet sumienie c. k. prokuratoryi musiało być niemi skruszone. A jak ciasnem jest to sumienie, dowodzi chociażby to, że u nas nie wolno wykazywać nawet oczywistych nadużyć tego lub owego żandarma, lub kierownika szkoły, chociaż redakcya w razie osobistego procesu bierze na siebie całkowity dowód prawdy poczynionych zarzutów.

Myron.

LIBERUM VETO.

Pożądany zwrot.—Towarzystwa jako podstawa rozwoju społecznego.—Towarzystwo ogrodnicze. — Chłopski sad i wiśnie przydrożne.—My i czesi.—Stowarzyszenie subjektów handlowych. — Nowa ustawa. — Potrzeba unii.—Przepowiednia walki.—Szczęśliwy pan i wieniec z plonów.—Dostojni i opowiadanie waryata.—Doroczny lament. — Chorobliwa filantropia. — Dwie oszczędności.

Straże ochotnicze, towarzystwo wioślarskie, towarzystwo dla popierania przemysłu i handlu, towarzystwo ogrodnicze, stowarzyszenie subjektów handlowych—są to bardzo ważne zdobycze naszego życia społecznego lat ostatnich, znamionujące pewien pomyślny jego zwrot, który jest właściwą, a przez nas ciągle wskazywaną drogą. Że kilkuset ludzi zbuduje sobie przystań nad Wisłą i nakupi rozmaitych łodzi, lub że subjekci handlowi zwiążą się razem, to wszystko jeszcze świata, a nawet nas nie zbawia. Ale niezmiernie ważnym jest ów ruch, ów popęd do kojarzenia żywiołów rozstrzelonych. Trzeba się przyjrzeć ustrojowi społeczeństw zagranicznych, ażeby pojąć, jaką dobroczynną i odżywczą siłę posiadają w nich wszelkiego rodzaju stowarzyszenia. Nasze „programy" kulały zawsze jednym błędem: budowały od góry. Podstawa—zrąb — mówiono — mniejsza o nie—ułożą się z przyjaznych wiatrów, z ciepłych mgieł, z brzasków porannych lub zorzy wieczornej—główna rzecz kopuła. Ach, ile ta kopuła kosztowała nas krwi, łez, cierpień i zawodów! Nieubłagana konieczność strącała ich z wszelkich rusztowań, wskazując na pracę od dołu. Pomału przekonywamy się, że wzgarda dla ludu, a cześć dla „wybrańców i naturalnych przedstawicieli narodu," że lekceważenie drobnych spraw ekonomicznych i upajanie się mrzonkami, że ciągłe odbieganie myślą od ziemi ku niebu, chociaż natchnęło wielu poetów, nie ratuje ogółu. Trzeba murować podwaliny, układać cegłę po cegle, poprzestawać na przedsięwzięciach skromnych, ale licznych, których suma dopiero daje szerokie oparcie. To lub owo towarzystwo, niemające bezpośrednich zetknięć z polityką, niestawiające przed swym sądem ks. Bismarka i wielu innych mężów stanu, gra rolę skromną, szerokiego wpływu nie wywiera, ale w pewnym obrębie budzi życie, a łącznie z innemi wprowadza do organizmu społecznego odradzające go pierwiastki.

W ostatnich dniach zatwierdzone zostały ustawy dwu towarzystw: ogrodniczego i subjektów handlowych. Pierwsze ma na celu podniesienie w kraju uprawy roślin, szerzenie odnośnych wiadomości i zamiłowania do ogrodów. Jeżeli którykolwiek brat nasz z pod Wawelu zapytał przypadkiem swego gościa z Pragi, co tam ludzie zrobili w tym kierunku, niezawodnie zatkał sobie w końcu uszy, ażeby nie słyszeć wstydliwego dla nas opowiadania. Co tam stało się źródłem bogactwa krajowego, to u nas jest obrazem nędzy. Ilustracye rysują skrupulatnie wszystkie kościołki; chciałbym, ażeby czasem odrysowały ogród chłopski, lub aleję wiejską wiśniami wysadzoną. Ciekawe to niezmiernie widoki, które dla wiedzy potomnych zaginąć nie powinny. Ciemny chłop sadzi sobie kolo domu, co dostanie lub ukradnie: lichą śliwkę, jarzębinę, akacyę, gruszkę lub... żywopłot. Zdaje się, że najbardziej idzie mu o to, ażeby miał na czem zakładać drążone w okrąglakach dziuple dla wróbli, które wiosną nieopierzone wybiera. Że tam bydło, wychodząc i wracając, osmyknie kolejno gałęzie z liści, to go żalem nie przejmuje. Jeżeli na drzewie przed drapieżnością jego dzieci, pastuchów i parobków pozostanie do jesieni jakiś owoc, to go za nicowaną czapkę lub kilka łokci perkalu kupi żyd z sąsiedniego miasteczka. A te nieszczęsne wiśnie przydrożne! Odrapane, zniszczone, składają skargę żałosną każdemu przechodniowi, który na nie się nie targa. Chłop, wiozący zboże lub drzewo, nie poprzestaje na oberwaniu jagód, lecz łamie całe gałęzie, które oskubawszy, rzuca na drodze. Nikt tego rabunku nie powstrzymuje, nikt go nie karze. Dzięki niedbalstwu i wandalizmowi kraj nasz wygląda goły i obszarpany w swych naturalnych ozdobach, a mogąc mieć własno piękne owoce, przepłaca zagraniczne. Zarówno tedy potrzeby materyalne, jak i względy estetyczne wymagają u nas zajęcia się ogrodnictwem, a najskuteczniejszą pomoc dać mu może — towarzystwo.

Gazety rosyjskie donoszą o zatwierdzeniu drugiego związku — stowarzyszenia subjektów handlowych. Jak wiadomo, istnieje w Warszawie instytucya tej nazwy „wyznania mojżeszowego." Trzeba przyznać zasługę kilku jej zarządom, że długo starały się o zniesienie tego ostrokołu i o możność otwarcia korporacyi dla wszystkich współtowarzyszów zawodu bez zastrzeżeń religijnych. Równolegle z temi daremnemi pokuszeniami subjekci chrześcianie, skrzywdzeni w swych prawach a rozdrażnieni ich monopolem, czynili zabiegi o drugie stowarzyszenie i rozwiesiwszy chorągiew Nowego Zakonu, polemizowali w dziennikach za Starym. Była to walka dość zabawna, bo jedni otwierali ramiona, które im prawo zamykało, a drudzy nie chcieli się w objęcia rzucić i zgrzytali zębami. Podając wiadomość, dzienniki nie oznaczają ściślej, jaka ustawa zyskała zatwierdzenie: czy chrześciańska, czy izraelska, usuwająca znamię religijne. Bądź co bądź, w każdym wypadku „Stowarzyszenie subjektów handlowych *wyznania mojżeszowego*" zakończy pewnie swój, zresztą poczciwy — żywot. Bo jeżeli przeprowadziło własny projekt, straci wyłączność, jeżeli zaś zdobyli pozwolenie ich chrześciańscy koledzy (prawdopodobnie bez żadnych ograniczeń), powinno się rozwiązać i do nich przystąpić. Sprawa ta powoła do egzaminu uczucia obywatelskie naszej młodzieży handlowej. Przewidujemy antisemityzm i antichrześcianizm—rozpalone do białości. Która strona będzie umiała wznieść się po nad ślepe instynkty — ta moralnie zwycięży. Naturalnie życzę obu uniknięcia gorszących waśni. Są ludzie, których całą racyą bytu jest podpalanie namiętności, są redaktorzy, głupi jak kamienie, wygrzewający swoje ambicye przy tym ogniu; tacy postarają się o czerwone płachty dla podrażnienia byków, toczących wściekłe zapasy na uciechę tłumu. Ale mam nadzieję, że rozwaga uchroni większość od wyzwań torreadorów i nie wystąpi do widowiska. Jeżeli asymilacya dwu żywiołów jest życzeniem szczerem, nie pustym frazesem, którym czyny przeczą, unia subjektów handlowych powinna się odbyć bez obustronnego oporu i nie pomnażać *juden* — lub *christen* — *hecy*. Zobaczymy — a przedewszystkiem czekajmy dokładniejszej, urzędowej wiadomości o zatwierdzonej ustawie.

Jestem najmocniej przekonany, że przeciwko tej unii zaprotestowałby uroczyście ów szlachetny pan, któremu — jak donosi *Kuryer* — chłopi wyprawili za granicę w dębowej skrzyni wieniec ze zboża i jarzyn. Zacny to obywatel: siedzi sobie gdzieś w rozkosznem miejscu, dochody z dóbr przez szeroko otwarte ręce w cudze kieszenie przepuszcza, konkurencyą zbożową Ameryki wcale się nie kłopocze, *Figaro* i *Niwę* czytuje, „warcholstwo" pism demokratycznych potępia i... „reprezentuje naród." Biedę majątku łata rządca i pachciarz, pijawka, bez której jednak porządny szlachcic od wschodu do zachodu słońca wytrzymać nie może. Lud zboże zżął — posłannictwo swoje spełnił, a jeśli służebności załatwione, między chatą a dworem panuje patryarchalna zgoda. Ten wdzięczny i przywiązany lud uwił swemu „panu" wieniec z plonów i posłał za granicę. Głupi? Nie—złośliwy. Ani przypuszczałem, że chłop nasz tak dowcipnie szydzić umie. Musiał on mieć jakiegoś pokątnego doradcę, który mu tę jadowitą myśl podsunął. A że ona jest jadowitą, dowodem gorzki uśmiech *Kuryera*, któremu cały ten prezent wielce się nie podobał.

Nazwiska szczęśliwego pana nie podano, ale mieści się ono zapewne między temi, które prasa codzienna starannie spisuje, wymieniając dostojeństwa rozmaitych „wód." „Bawi tu — czytamy zwykle — hrabia P., księżna W., a wkrótce ma przybyć prałat C." Wszystko to jest zestawione razem z Virchowem, W. Hugo lub Jokajem. Wobec tego bałwochwalstwa, bijącego służalczem czołem przed ladą arystokratycznym manekinem, nasuwa mi się nieraz zagadka: coby zrobił redaktor takiego pisma, gdyby go jaki hrabia, żyjący z długów, poklepał po ramieniu, lub hrabina, wspierana przez Towarzystwo Dobroczynności, obdarzyła różą? Chybaby miejsce zaszczytnego dotknięcia kazał utrwalić sobie galwanicznie. Pewien waryat, opowiadał mi, że raz spotkał w lesie duszę.

— A ty mała, co tu robisz? — zapytał ją.

— Cicho, mój drogi — odrzekła — cicho, ażeby w niebie nie usłyszano.

— Dlaczego?

— Widzisz, mój poczciwy, wszystkie dusze po wyjściu z ciał zostają na drugim świecie zamknięte w obszernym budynku, skąd codziennie bywają przewożone w pakach do olbrzymiej fabryki, wyrabiającej nowych ludzi. Ponieważ każdy gatunek wymaga innego materyału, więc stwarzani są partyami: dziś chłopi, jutro szlachta, pojutrze arystokraci, potem artyści, uczeni, rzemieślnicy itd., a przytem osobno każda narodowość. Podczas wcielenia poprzedniego przekonałam się, że w Polsce licha warto życie wszystkich rodzajów ludzkich, z wyjątkiem jednego.

— Jakiego?

— JW.

— Co?

— JW. — nie rozumiesz? Otóż dziś stwarzają malarzów, rzeźbiarzów i poetów, jutro — uczonych, a dopiero pojutrze — j. w. Na ten dzień wrócę do nieba i dostanę się w ciało znakomite, o którem *Kuryer* natychmiast doniesie: hrabina lub księżna X. powiła ubiegłej nocy dziecię, budzące niewątpliwą nadzieję pięknej przyszłości.

— A w kimżo byłaś ostatnim razem?

— W Moniuszce.

Jest to opowiadanie waryackie, ale sądzę, że czytelnik bez trudu odnajdzie w niem ziarnko rzetelnej prawdy.

W tej chwili inne duszyczki płaczą, skarżąc się, że je osadzono w ciałach kandydatów do szkół, w których „niema miejsc wolnych." Jest to nasz coroczny i tylko u nas zrozumiały dramat. Masa dzieci przybywa do gimnazyów, w których widzi początek swej przyszłości i których drzwi znajduje zamknięte. Niepodobna o tem myśleć bez głębokiego wzruszenia, bez... Bądźmy... umiarkowani. Wiele głów wysila się nad wynalezieniem ratunku — daremnie. *Dziennik warsz.* radzi po swojemu, ażeby zakazano przyjmować do szkół Królestwa chłopców z Zachodniego kraju, ale *Gazeta warszawska* dowodzi mu, że stamtąd przybywa ich bardzo niewielu. Ostatecznie po za wszelkim zakazowym i niezakazowym dowcipem pozostaje fakt, że liczba gimnazyów nie wystarcza potrzebom kraju, że trzeba je znacznie pomnożyć. Obiegająca między innemi prasę naszą teorya, która chce zwrócić młodzież do zawodów praktycznych i powstrzymać jej napływ do naukowych, traci tu pozory swej słuszności, gdyż chociażby nawet w interesie społeczeństwa leżało ograniczenie wykształcenia wyższego, nie może nigdy być korzystnem ograniczenie średniego. Mniej adwokatów—przypuśćmy, ale nigdy mniej

ludzi, posiadających ogólne wiadomości z historyi, geografii lub nauk przyrodniczych. Jesteśmy za ciemni na to, ażeby w sferze umysłowej zaprowadzać oszczędności.

Dzieci nasze nie mają się gdzie uczyć, ale za to filantropia dba o... prostytutki. Komitet policyjno-lekarski donosi w swem sprawozdaniu za rok 1882 o „kapitale kobiet publicznych, wynoszącym obecnie 16,601 rs. 10 kop. złożonym w kasie Magistratu. Kapitał ten pozostanie w depozycie dotąd, póki nie zbierze się potrzebna suma, wystarczająca na wybudowanie przytułku dla byłych prostytutek, które z powodu starości, kalectwa lub chorobliwego stanu *nie mogą już zapracować na swoje utrzymanie.*" Nie przeczę, że i śród tych nieszczęśliwych znajdują się jednostki godne litości, ażeby wszakże te, „które już nie mogą zapracować na swe utrzymanie" zasługiwały bardziej na litość, niż noworodki rzucane po ulicach i morzone głodem w *Szpitalu* lub dzieci, niedopuszczone do przepełnionych szkół—to już chyba tylko chorobliwa dobroczynność wytłomaczyć zdoła.

Urzędnicy rosyanie, przechodzący na posady do Królestwa, otrzymali znaczne ulgi w emeryturze. Obecnie dla zyskania tych przywilejów będą musieli służyć u nas najmniej lat pięć.

Najwyższy Synod zażądał 1,600,000 rs. na budowę nowych cerkwi w Królestwie Polskiem—minister skarbu wszakże żądaniu temu odmówił.

Może na tych dwu oszczędnościach zyskają szkoły.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Zwykłe prowincyonalne rubryki.—Szczegóły złodziejskiej organizacyi.—Fatalne przystosowanie się. — Rola prawodawstwa wobec kradzieży koni. — Metamorfoza pojęć o nauce.—Nauczycielskie ambicye.—Nowe szkoły. — Skuteczność zdania uczonego. — Piętno kastowości.—Prośba o gruntowność.

Wszystkie niemal korespondencye z miasteczek prowincyonalnych do pism naszych posiadają trzy stałe rubryki. Pierwsza zaczyna się mniej więcej: Pożary nie przestają grasować w całej gubernii... Druga głosi: Urodzaje w naszych okolicach piękne, zbiór zboża powiódł się wyśmienicie, tylko że popytu niema znikąd, ceny spadają; żyto i owies trzymają się jeszcze jako tako, ale o pszenicę nikt nawet nie zaczepi. W trzeciej nareszcie rubryce krótko i sucho konstatowanem bywa, że koniokradztwo kwitnie równie pomyślnie, jak rok... dwa... pięć... osiem lat temu.

W kwestyi tej żadnych wyjaśnień i uwag nie potrzebujemy. Wiemy wszyscy, jak to się odbywa. Siły społeczne, skierowane ku uprawie koniokradzkiego przemysłu, posiadają trwałą i wypróbowaną organizacyę, której jeden tylko szczegół niejest nam znany. Nie doszło mianowicie do uszu szerszej publiczności to, na jakich zasadach wspiera się owa organizacya: czy jest zcentralizowaną, czy też pojedyncze grupy posiadają swą autonomię i niezależność ruchów; czy na koszta przedsiębiorstw ściągają się pieniądze zapomocą wypuszczania akcyj, czy też finansowość prowadzi w sposób „ojcowski," lub też wszystko pozostawionem bywa prywatnej inicyatywie? Ale za to przyszłemu historykowi wcale nietrudno będzie scharakteryzować sposoby działalności. Są one dwojakiego rodzaju: skradzione konie pędzi się do stałych stacyj, tak gęsto rozsianych w kraju, że kłopotu nie ma żadnego, a potem sprzeniża się zagranicą, lub na nieco odleglejszym jarmarku; drugi rodzaj taktyki jest o wiele prostszy, zdobycz odprzedaje się dawnemu właścicielowi, pozostawiając mu przywilej pierwszeństwa i prawo tańszego nabycia. Statystyk również nienapotka żadnej przeszkody w wykazaniu ilości i wymienieniu stacyj do przechowania kradzieży; z łatwością obliczy ilość koni przeprowadzonych i nakreśli trakty.

Dowiedliśmy w tej sprawie wysokiej umiejętności przystosowywania się do warunków oraz rezygnacyi. Traktujemy złodziejstwo jak klęskę żywiołową. Szlachcic opłaca się faktorom, chłop, dostrzegłszy stratę, drapie się w głowę, kładzie zasmolone papierki do pęcherzowego woreczka i idzie targować się z szynkarzem. Nic a nic nas to nie zdziwi, jeżeli którego wiosennego wieczoru dzienniki rozgłoszą *urbi et orbi* o powstaniu w bialskiem lub mławskiem Towarzystwa wzajemnego wynagradzania się za koniokradztwo. Przyzwyczailiśmy się tak do zjawiska, przeświadczyliśmy się o jego konieczności, iż z dniem każdym tolerancya staje się doskonalszą. Trzy lata temu w kilku stronach kraju na pytanie, co słychać, odpowiadano mi lamentami i oburzeniem na ciągłą kradzież koni. Teraz zwiedziłem znowu też same okolice i już w tej sprawie głucho.

— Czy nie kradną już u was teraz?

— Kradną—odpowiada chłop lub mieszczanin ze zwykłą obojętnością—ot i wczoraj u sołtysa zginął źrebak, a zeszłego tygodnia to nawet cztery konie zabrali z łąki w tej o wiosce, co widać.

Takim samym tonem opowiadałby mi, że deszcz przeszkodził zwózce, a dziewczyna z zaziębienia dostała kaszlu.

Traktowanie z tem samem spokojem złodziejstwa, z jakiem oczekujemy gradobicia, rzecz naturalna, wiele korzyści nie przyniesie ani moralności publicznej, ani ziemiańskiem kieszeniom. Najskuteczniej i najgruntowniej złemu zaradziłby mogły reformy prawodawcze. Zbieg dat aż nadto nas o tem przekonywa, że rok 1876 stanowi erę kradzieży końskich. Nie jestem wcale wyznawcą teoryi, że zmiana ustawy zmienia rdzennie życie społeczne. Ale prawodawstwo jest gruntem, warunkującym możność tej lub owej budowy. Jak na Wezuwiuszu nie rozwinie się Manchester, a na piasku nie urośnie pszenica, tak samo nie przyniesie żadna działalność owoców, jeżeli prawa obowiązujące rujnować będą jej usiłowania. Często tam, gdzie ustawy otworzą upusty, przeciwdziałanie jednostek równa się wsadzaniu rękę w wodę, celem zatrzymania pędu rzeki. Doprawdy w danym wypadku zdałby się jaki stan wojenny swego rodzaju.

Potrzeba obostrzeń, wszystko więc, co je osłabia, działa szkodliwie. Dlatego też rezygnacya społeczeństwa wobec szalejących potwornych kradzieży, traktowanie ich w ten sam sposób, jak sprzedaż tytoniu pod fałszywemi opaskami, zmniejsza skuteczność nawet tych środków, które istnieją. Tolerancya otoczenia wpływa na organy władz, na sędziów. Zwyczaj znosi w pewnych wypadkach zupełnie odpowiedzialność za występki. Oszukaństwo przy sprzedaży wierzchowców, lub zabranie cudzego psa zwykle prócz przekleństw nie wywołuje żadnego prostestu. Nie włączajmyż do tej samej kategoryi koniokradztwa!

Korespondencye z prowincyi, o których na początku wspominałem, jeżeli pochodzą z miast, posiadających średnie szkoły, zawierają również stałe skargi na niegościnność progów gimnazyalnych. Przybytki nauk stały się u nas rodzajem jakiegoś nieba, do którego dostawać się mogą tylko wybrani i to po przejściu srogiego czyszcza niepokojów, obaw i ćwiczeń w niezrozumiałych umiejętnościach, po których nabycie właśnie wybierają się. Mocno się boję, że po latach wielu pojęcia nasze o szkole przebędą takie metamorfozy, jak poglądy na koniokradztwo. Stać ona będzie w myślach naszych, jak jakiś Panteon mistycznych trudności, zgromadzonych razem i pokombinowanych w sposób niepodobny do zrozumienia. Nie jestem pewny, czy nim jedno pokolenie minie, nauka nie zostanie upodobnioną do cholery, lub do ludzi, przyjeżdżających z miejsc zarażonych, wobec tak starannie i pomysłowo urządzonej kwarantanny. Młodzież, posiadająca patenty dojrzałości, będzie miała prawo żądać od społeczeństwa wianków męczeńskich i świadectwa o genialności.

Ach, jeżeli chodzi o wieńce zasług, to zapominać nie można o nauczycielach. Szanowna większość pedagogiczna tak się wszędzie przejęła duchem obowiązujących praktyk, że nieraz zasłużyć by mogła od samego ich twórcy na uwagę: *trop de zèle.* Znowu spotykamy tu dziwne pomieszanie pojęć: uczniowi, który dlatego właśnie jest uczniem, że nie wiele umie, stawiają się na egzaminach wymagania jakiejś mądrości niepowszedniej, ilości wiedzy, bystrości pojęć itd. Zdawać by się mogło, że tam, gdzie chodzi o zbadanie, co uczeń umie, do czego jest zdolny, nie należy polować na to, czego nie umie, a jednak jakże panowie profesorowie trudzić sobie muszą mózgi, aby wyszukać tyle sofistystycznych pułapek, ile co rok wystawionych jest na pokaz przed szósto- i siódmo-klasistami! I co za tryumfy, ilu się obcina! Pewny jestem niemal, że żaden istotny pedagog francuski, ani angielski nie wprowadziłby do swej książki ani jednego z tych zadań, które co rok rozwiązują uczniowie naszych gimnazyów. Czy to łamanie głowy nad niedorzecznemi trudnościami ma zapewnić krajowi Lagrange'ów, czy też nie wielka ilość kończących uchroni nas od szarlatanów? Gdyby to ostatnie sprawdziło się, tylu ich jest, tylu zamiast o szerzeniu wiedzy i zamiłowania dla nauki rozmyśla nad posłaniem do okręgu jakichś baryer, nad zrażaniem młodzieży widmem bezcelowych, a męczących koziołków myśli. Dziwne gusty, zdawałoby się, że przyjemniej jest być obywatelem i kapłanem oświaty, niż eunuchem na straży jakiejś nędzy.

Trzeba na pociechę przyznać, że ogół w sprawie oświaty średniej trzyma się twardo. Pozwalamy niemcom robić majątki na fosforytach podolskich i wyzyskiwać warunki ekonomiczne w przemyśle; niebu jednemu zostawiamy wciąż troskę nad bezpieczeństwem życia i całością mienia, ale nie żałujemy ani pracy, ani grosza na zakładanie szkół. Francuska respublika, porwawszy nareszcie w swe ręce sprawy kraju z niszczącego ucisku dawnych rządów, wytężyła wszystkie swe siły przedewszystkiem na to, aby złamać nieuctwo i—stanęła baryera przeciw nowym gwałtom. Norwegski poseł powiedział kiedyś: dajcie mi naród zgniły zupełnie, a ja go abecadłem uzdrowię. To też choć we wszystkich kierunkach u nas *rwie się,* otuchy tracić nie należy, dopóki żyją wśród społeczeństwa objawy pracy nad szerzeniem wiedzy, A mam do zanotowania kilka faktów.

W Łęczycy p. Lanckiewicz założył progimnazyum czteroklasowe męskie, miasto dawać będzie po 500 rs. zapomogi rocznej, prócz tego prywatne osoby przyrzekły przychodzić w pomoc.

W Borysowie (gub. mińskiej) 18 b. m. otwarte zostało Towarzystwo pomocy dla uczącej się młodzieży. Na początek jest kilkudziesięciu członków i 360 rs. dochodu. Znowu przypomnieć muszę, że to sprawa nie Borysowa tylko.

W Rudzie Guzowskiej p. Sobański założył szkołę nieklasową dla dzieci. Na ten ostatni fakt zwracam szczególną uwagę, czy jeden wyłom nie pociągnąłby za sobą możności innych?

Wilno, jak również bliższe i dalsze okolice jego, pod względem ofiarności na cele nauki wcale nie zostają w tyle. Szkoda tylko, że chęci swoich nie ograniczyły do szkoły przemysłowo-rolniczej. Byłoby to do-

prawdy lepsze, niż wymyślanie budowy przytuliska dla ubogiej *szlachty*, nie mogącej już pracować, a wstydzącej się żebrać. Najładniejszą rzecz uczynić można wstrętną, kładąc na nią znamię kastowości. Kto się zasklepia w swojej jedynie sferze, ten się przez tożsamo zrzeka obywatelstwa kraju. Co za fatalne odgradzanie się od narodu! Gdyby to jeszcze było gdzie pod Odessą, możnaby było znaleść cień chociaż racyi, ale domaganie się indygenatu na Litwie, to rzecz tylko naganna, jeżeli nie więcej.

Znowu kronikę zakończyć muszę prośbą o głębsze traktowanie przez pisma ekonomicznych spraw kraju w chwili bieżącej. Projektowanem jest podobno ocienie zagranicznych maszyn rolniczych, przywożonych dotąd bez żadnej opłaty. Ma to naturalnie ścisły związek z rozwojem naszego przemysłu żelaznego i z rolnictwem. Już niektóre pisma nasze popisały się znajomością dowcipów Bastiata, okrzykując zbawienne skutki wolnego handlu. Te kwestye w ostatnich czasach były przedmiotem tak poważnych a nierozstrzygniętych sporów, że jakaś kropla wątpliwości doprawdy grzechu by nie uczyniła. To takie ważne, poczekajmy niech specyaliści przyjrzą się bliżej szczegółowo, zamiast po doktrynersku alarmować ogół wyliczaniem kroci, mających jak nowy ciężar spaść na rolnictwo.

Petersburg Stracono tu nadzieję zbytu zboża na wywóz. Najmują się więc składy na przezimowanie. Dotąd zgromadzono 2 miliony czetwerti. Czuć się daje brak spichrzów.

Nadesłane z powodu korespondencyi z Kijowa w nrze 33 *Prawdy*:

„Dziwi mnie mocno, że p. Ces. N., który spędził „całą swą młodość na Ukrainie" tyle tylko znalazł listków w słusznie, czy niesłusznie uwitym wieńcu zasługi dla świeżo zmarłego hr. Wł. Branickiego. Ja pracowałam tylko przez jedenaście miesięcy w cukrowniach hr. Branickiego, a jednakże w tak krótkim przeciągu czasu większą zebrałem wiązkę jego czynów obywatelskich i uważam za obowiązek podać to, co wiem, do wiadomości publicznej.

Przyznaję, że zbudowanie kilku cukrowni, przynoszących piękne zyski, nie daje prawa do tytułu „zasłużonego," ale przyzna może korespondent, że zasługują na miano obywatelskich czynów: choćby obsadzenie tych fabryk krajowcami, co w naszych stosunkach przemysłowych nie należy do rzeczy powszednich; delikatna pomoc udzielana w czasie wakacyjnym uczącej się młodzieży pod postacią zajęcia w fabrykach lub przy gospodarstwie, zajęcia kształcącego praktycznie i przynoszącego wynagrodzenie materyalne, wyższe od wynagrodzenia zwykłych pracowników; wydanie swoim kosztem *Cukrownictwa* Stammera w polskim przekładzie; założenie w Aleksandryi pod Białą Cerkwią małej fabryki cukru, przeznaczonej tylko do doświadczeń, a która jedynie dzięki nieumiejętnemu kierownictwu nie odpowiedziała swemu zadaniu, i w końcu założenie rodzaju kasy pomocy, w której wkłady pracowników wywołują po pewnym przeciągu czasu wkłady ze strony chlebodawcy.

Wszystkie te czyny—to tylko wypełnienie obowiązku — powie może korespondent. Ja pozwolę sobie odpowiedzieć na to pytaniem: czy jest społeczeństwo, w którem spełnienie obowiązku jest uważanem tylko jako takie, a nie za zasługę? Podobno nie. Stąd też zapewne pochodzi i owa zasada: *de mortuis aut bene aut nihil*; wiemy, kogo tracimy, ale nie wiemy, kto nam zostaje.

Karol Chrząszczewski.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 28 sierpnia.

Ciekawe a niezrozumiałe rzeczy dzieją się teraz w Chinach. Bardzo nawet biegły znawca praw międzynarodowych nie potrafiłby ściśle określić, czy już wybuchła wojna między Francyą a Państwem Niebieskiem, czy nie? Formalnego wypowiedzenia nie ma dotąd, ale admirał Courbet zburzył i zdobył Fu-Czeu i pozatapiał chińskie statki. Ze strony respubliki europejskiej mają to być wszystko rękojmie należytego wynagrodzenia za straty, a właściwie zamiar trzymania w karności przyszłego a niepewnego sąsiada. Jak się zaś ostatecznie postawią Chiny—trudno odgadnąć: czy, odrzuciwszy propozycyę Ferry'ego, zbierają środki, aby siłą odeprzeć francuzów, czy też ze wschodnią opieszałością marudzą, tracąc czas i grunt pod nogami, a rachując na pośrednictwo Stanów Zjednoczonych lub Niemiec.

Od niepamiętnych już czasów nie zdarzyło się, aby europejskie mocarstwo nie wyszło zwycięsko z zatargu z ludami niższej cywilizacyi (walka anglików z Boerami wyjątku nie stanowi, gdy Boerowie są Holendrami), nikt też prawie nie wątpi, ażeby plany Ferry'ego nie zostały uwieńczone powodzeniem. Inaczej rzecz się ma z życzeniami. Powinięcia się nogi Francyi lub przynajmniej obecnego gabinetu pożąda wielu. Przedewszystkiem zaś Anglia, a po za nią opozycya wewnętrzna.

Pierwsza zaszkodzić może, bo wpływy posiada i działać umie, ale co do drugich, to należy wątpić, czy prócz krzyku zrobić co więcej potrafią. Izby tylko co się rozeszły, sytuacya istotnie nie zmieniła się już od wielu tygodni, a więc wotum zaufania, złożone w ręce gabinetu, było pełnomocnictwem do swobodnego działania. Dlatego też domaganie się dzisiaj przez Rocheforta lub Barodeta zwołania parlamentu, alarmowanie opinii okrzykami: ojczyzna zdradzona — jest tylko zużytym manewrem, na który nikt nawet baczniejszej uwagi nie zwróci.

Według pogłosek, krążących w sferach rządowych, sesya powakacyjna otwartą zostanie 1 października. Jedną z pierwszych czynności będzie rozpatrywanie prawa o reorganizacyi senatu. Projekt prawa tego złożony został do biura przez rząd na ostatniem posiedzeniu Izby wyższej. Najlepiej w tych kwestyach oświadomiona *Républ. Française* podaje następujący tekst propozycyi gabinetowej:

1) Zamiast 1 go przedstawiciela niektóre rady posyłać będą 2 aż do 10-ciu, proporcyonalnie do ilości radców (wyjątek stanowi Paryż, który posiadać będzie o wiele liczniejszą reprezentacyę).

2) Senatorów dziś dożywotnich wybierać ma na lat 9 osobno Izba deputowanych, osobno senat wspólną absolutną większością (?).

3) Wybór na osierocony urząd senatora ma się odbyć w ciągu trzech miesięcy, jeżeli krzesło opróżniło się w dwóch pierwszych latach po ogólnych wyborach trzeciej części senatorów.

4) Członkowie dawnych dynastyj nie mogą być senatorami.

Nie ma tu zamieszczonego prawa o rozszerzeniu liczby wyborców do senatu, co miało być głównym punktem reformy.

Dotąd nic, lub bardzo mało słychać o wyborach w Niemczech, szczególniej o stanowisku rządu. Być może, że ks. Bismark szykuje jaką niespodziankę, chociaż możebnem jest i to, że pochłaniają go zupełnie sprawy zagraniczne, a pewnym być może, że niezbyt śmiałych przedstawicieli swego narodu zawsze w należytych karbach utrzymać zdoła.

A wziął się pan kanclerz do Anglii nie na żarty. Przebąkują już wytrawne nawet polityczne dzienniki, że po Austryi i Francyi kolej przyszła teraz na Anglię... tylko że troszkę trudniej mu będzie. Wymiana not, zjazdy odbyte i projektowane zbyt żywo następują po sobie, aby nie miały pracować *pour le roi de Prusse*. Widocznie Niemcy oddawna już przygotowały się do wystąpienia z polityką kolonialną, bo odrazu ajenci ich i przedstawiciele zjawili się na kilku punktach. Prócz Angry-Pequeny wystąpili oni z zamiarami opanowania wybrzeży Nowej Gwinei, okolic rzeki Kongo i całego kraju między istniejącą kolonią w Angra-Pequena i rzeką Orange. Przedstawiciel cesarza Wilhelma, Nachtigal, miał nawet urzędownie już ogłosić, że sztandar niemiecki uważa za swą własność ostatnią część wybrzeży afrykańskich. Anglicy na wszystkich punktach wystąpili z działaniem odpornem. Brzegi Kongo według ich zdania i zamiarów należeć powinny do Portugalii. Północne wybrzeża Orange parlament przylądka Dobrej Nadziei wciąż uważa i mianuje posiadłością angielską, pomimo nawet niezbyt zachęcającej rady lorda Derby'ego. Dla stawiania zaś przeszkód w Oceanii utworzyło się aż Towarzystwo, które ma uprzedzić niemców w opanowaniu wysp na Oceanie Spokojnym.

Pomimo takich kłopotów i niebezpiecznej gry z najgroźniejszym przeciwnikiem w Europie, rząd Trójjedynego królestwa energicznie wziął się do uwolnienia Gordona i pomimo przeszkód żywiołowych bardzo znacznych prawdopodobnie dokona tego.

Ze strony Irlandyi burza nie umilka naturalnie. Wybuchy wciąż się powtarzają. 16 b. m. odbyła się konwencya narodowa w Bostonie. Wyrażono tam uznanie dla Parnella, potępienie dla anglików i postanowiono przesłać do Irlandyi zebrane ze składek 28,000 dolarów na cele agitacyjne.

W Stanach Zjednoczonych agitacya w sprawie wyborów prezydenta nie słabnie, przeciwnie nawet nowe odezwy dowodzą, że wzrasta. Przyczyniło się do tego wystąpienie nowego kandydata w osobie generała Buttlera. Dotąd istniały w ojczyźnie Franklina dwa wielkie stronnictwa: demokratów i respublikanów; nowy pretendent probóje utworzyć trzecie, które określił szumnem, lecz mocno już nadużytem mianem *partyi ludu*. Powodzenia temu przedsiębiorstwu wróżyć trudno.

Genewa. Pogłoski o pokazaniu się cholery są fałszywe. Rodacy Kalwina utrzymują, że do nich nawet w latach najsilniejszej epidemii zaraza nigdy nie dochodziła.

Londyn. Wyprawa na odsiecz Khartumowi jest już ostatecznie zarządzoną. Dowództwo objemie gen. Wolseley, który też udaje się niezwłocznie do Egiptu.

CUDZE GŁOSY.

Zakłopotanie czechów było niemałe, gdy bezpośrednio po odjeździe gości z Węgier przybyli także chorwaci z Zagrzebia dla przyjrzenia się nowemu teatrowi. Ostatecznie przyjęto chorwatów urzędownie mniej — nieurzędownie więcej serdecznie, niż węgrów. *Pesti Napló* robi na to minę taką:

„Także chorwaci pojechali do Pragi i powitano ich podobnie, jak madyarów. Ani się tem cieszymy, ani smucimy—jesteśmy w porządku. Między czechami są stronnictwa: staroczesi i młodoczesi. Pierwsi rej wiodą—drudzy stanowią opozycyę. Staroczesi są partyą austryacką—młodoczesi są wszyscy panslawistami. Młodoczesi chcieliby wojen husyckich i inwazyi rosyjskiej (?) — staroczesi starają się przy pomocy katolicyzmu stawiać opór protestanckim niemcom. *Narodni listy* są nieprzyjazne węgrom — staroczesi skłaniają się ku nam i niechętnie patrzą na panslawistyczne demonstracye. Chorwaci chcieli uzyskać zadośćuczynienie za okazałe przyjęcie węgrów i poszli do Pragi. Młodoczesi cieszyli się—

starzy byli w kłopocie: odepchnąć chorwatów, południowo-słowiańskich braci—nie mogli, przyjęli ich zatem wedle tego samego programu, co węgrów. Mówcy wystrzegali się wszelkiej wzmianki o sporze węgiersko-chorwackim, ale napięli wszechsłowiańskie struny i sprawę cywilizacyi wysunęli naprzód. Za to chorwaci ciskali się na węgrów, gdzie tylko mogli. No, nie zwiększy się przez to Chorwacya. W Wiedniu wyzywali węgrom od tatarów, dopiero w Pradze—zdaje się, na prośbę czechów—byli umiarkowańsi.

Jedno teraz mamy do powiedzenia czechom: odwiedziny polaków, węgrów, chorwatów nie znaczą *federalizmu. Magyarország* jest państwem od Adryi po Karpaty, który z Austryą pozostaje w takim tylko związku, jak państwo z państwem. My nie chcemy madziaryzować chorwatów (podobnie mówią węgrzy o słowakach; *przyp. red.*), ale nie uznajemy osobnego państwa chorwackiego, dopóki mieczem i rozumem zdołamy utrzymać swoje. My nie życzymy sobie sporu z czechami, albo innymi narodami Austryi, ale muszą nas one szanować. My nauczymy chorwatów rozumu tak, jak serbi (w połud. Węgrzech; *przyp. red.*) do niego przyszli. Co się tyczy wreszcie czechów, to jeżeli nas zmuszą do wmieszania się w ich sprawy, przeciągniemy szalę wagi na tę stronę, która nam będzie wygodniejszą “

Tak oficyałowie węgierscy odpowiadają czechom za serdeczne podjęcie gości peszteńskich w Pradze. I wartoż było udawać uczucie, którego się nie żywi? Interes polityczny (chwilowy) skłania dziś czechów ku węgrom—zbytecznem jednakże było schodzenie z areny politycznej na pole towarzyskie, czego zresztą można było uniknąć.

„Sokoły“ czeskie i galicyjskie. Smutną bardzo paralelę przeprowadził *Kuryer lwowski* pomiędzy towarzystwami gimnastycznemi w Czechach i Galicyi. Przykry stosunek zaznaczył się już w Krakowie, gdzie na powitanie tysiąca *sokołów* czeskich wyruszyło naszych raptem... trzydziestu i to w stroju francuskim.

„Dziwnie wyglądało to bractwo w Krakowie, ubrane we fraki i cylindry! Jesteśmy też pewni, że musieli się wstydzić przed kolegami czeskimi, których miano wzorem ich przyjęli przed 17 laty. Organizacya „sokołów“ czeskich nie o wiele jest starszą od naszej—zaledwie kilka lat różnicy. A jednak jak olbrzymia różnica! „Sokół“ czeski ze wszystkiemi filiami swojemi, obejmującemi gęstą siecią kraj cały, liczy dziś około 30,000 członków, a galicyjski z dwoma filiami na papierze niespełna 300 członków we Lwowie. Organizacyę „sokołów“ swoich przejęli czesi od niemców, którzy w czasach najstraszliwszej reakcyi stworzyli i rozwinęli stowarzyszenia turnerskie, śpiewackie, strzeleckie itd., aby obudzić ducha łączności w masach i obowiązkowości obywatelskiej. Opanował je dzisiaj militaryzm pruski, są one jednak zawsze potężnym żywiołem życia towarzyskiego i tej wszechstronnej *ochoty*, która tam przejmuje życie publiczne w różnych kierunkach.“

Żali się potem *Kuryer*, że w Niemczech i Czechach należą i ludzie starsi do towarzystw sokolniczych, gdy u nas nawet młodzież stroni od nich.

„Młodzież akademicka—powiada—już to po większej części fikalscy albo sensaty, a skoro wyrośnie na suplenta, koncypienta albo beamtera, to już ani jej mów o należeniu do jakiegoś stowarzyszenia, mającego dobro publiczne na oku! Wszystko śpi, marząc jedynie o chlebie, lub z głodu ginie, bo przy ospałości powszechnej, ciemnocie i braku inicyatywy trudno nawet o chleb powszedni.“

Sąd zanadto może ostry i niezupełnie słuszny, bo gdzie głodnemu myśleć o gimnastyce, ale jest też w nim i racyi wiele.

Program polaków bukowińskich. Pismo nasze określiło już pogląd swój na projekt przyłączenia Bukowiny do Galicyi. Wychodzący dwa razy na tydzień w Czerniowcach organ tamtejszych polaków pisze się zupełnie na nasze zdanie:

„Plany zaborów lub narzucania hegemonii dalekimi są od nas, bośmy cząstką narodu, który się nigdy nie splamił polityką teutońskiego kulturtregierstwa. Bukowina, która niejednokrotnie należała do Polski, nigdy naszą nie była i dobrowolnej unii z nami nie zawierała. Inicyatywa przeto połączenia Bukowiny z Galicyą nigdy chyba nie wyjdzie od tutejszych polaków—bez względu nawet na pytanie, ażali połączenie to byłoby lepszem lub gorszem dla administracyjnego ustroju monarchii i Bukowiny. Natomiast, pracując zarówno z innymi dla dobrobytu kraju, w którym przebywamy, pragniemy, by kraj ten uznał i uszanował prawa naszej narodowości i dopuścił nas do takiego wpływu na tok spraw publicznych, jaki na podstawie liczebnego stosunku i siły inteligencyi należy się tutaj naszemu żywiołowi.“

Występuje dalej czerniowiecka *Gazeta polska* przeciwko nienaturalnemu sojuszowi z rumunami, a radzi połączyć się z rusinami, ku czemu uczyniono już pierwszy krok podczas ostatnich wyborów.

„Im rychlej uda się nam przekonać malkontentów własnych, że miara galicyjskich stosunków nie nadaje się do stanowiska naszego na Bukowinie, im mocniej przeto zaciśniemy węzeł pojednania z tymi, z którymi nas łączy i wspólność krwi, i jednakowa dola, i jeden i ten sam cel polityczny—tem snadniej osiągniemy należny wpływ na sprawy publiczne i zajmiemy stanowisko, jakie się słusznie należy poważnym liczbą, a najsilniejszym inteligencyą obywatelom kraju.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawozdanie z działalności Synodu głosi, iż w 1882 r. upłynął termin zapomogi rządowej w sumie 200,000 rocznie na budowę nowych cerkwi w Królestwie Polskiem. Skutkiem tego generał-gubernator warszawski zrobił przedstawienie, w którem wykazuje, że w Królestwie potrzeba wznieść jeszcze 66 cerkwi nowych i 202 lokali parafialnych kosztem przynajmniej $2^1/_2$ *miliona rubli*. Ministeryum spraw wewnętrznych przychyliło się do tego wniosku i projektowało w budżecie państwa wyznaczyć w tym celu 100,000 rs. rocznie na lat 15, lecz ministeryum skarbu było odmiennego zdania.

— Na budowę cerkwi w guberniach zachodnich rząd przeznacza jeszcze po 250,000 rs. rocznie.

Na pogrzebie d-ra Świderskiego, lekarza w Barcinie (w Poznańskiem), wypowiedział niewinną zresztą pod względem politycznym mowę p. Brzeski. Prokuratorya pruska wytoczyła mówcy proces o... urządzenie zebrania pod gołem niebem bez pozwolenia policyi. Towarzystwo obrony prawnej wzięło w opiekę p. Brzeskiego i sąd ławniczy w Szubinie uwolnił podsądnego, ale prokurator wniósł rekurs do wyższej instancyi.

Pożary w Galicyi. W ciągu jednego prawie miesiąca spaliły się tam niemal doszczętnie trzy miasta: Dukla, Kołaczyce i Rawa ruska. Liczba drobniejszych pożarów ogromna.

Emigracya. Biuro statystyczne w Washingtonie ogłosiło wykaz porównawczy emigrantów, przybyłych do różnych portów w Stanach Zjednoczonych w ciągu roku (od czerwca do czerwca) 1883—1884. Według tego wykazu przybyło z Anglii i Walii 62,791 osób, z Irlandyi 57,687, ze Szkocyi 10,340, z Austryi 13,335, z Niemiec 177,102, Włoch 16,287, Norwegii 76,264, ze Szwecyi 24,701, z Kanady 58,049, z innych krajów 73,278, razem przybyło 509,834, w tem z krajów europejskich 377,507 osób. W porównaniu z rokiem zeszłym emigrowało mniej o 82,490, zaś w porównaniu z 1881/2 mniej o 209.000 osób.

Statystyka kalek. Według obliczeń statystycznych, przytoczonych przez *G. warsz.*, Królestwo Polskie posiada 7,000 głuchoniemych, 1,650 niewidomych i przeszło 3,800 obłąkanych. Niewidomi i głuchoniemi posiadają, jak wiadomo, szkołę i przytułki; obłąkani zaś oprócz trzech małych szpitali nie posiadają żadnego schronienia, żadnej instytucyi, któraby ich przygarnęła pod swoje skrzydła.

W Paryżu i w Juvisy istnieją domy przytułków i pensye dla dziewcząt polskich pod wezwaniem św. Kazimierza, a pod opieką sióstr miłosierdzia. Juvisy leży w departamencie Seine et Oise, o kilka stacyj od Paryża. W przytułkach tych znalazło schronienie wielu bardzo weteranów i kalek. W stołecznym zakończył życie gen. Wysocki, poeta Olizarowski, obecnie zaś przebywa Retel, znany belwederczyk, wyznawca Towiańskiego i pisarz historyczny. W Juvisy spędza ostatnie dni jedyny żyjący dziś (z 17-tu) założyciel Towarzystwa demokratycznego, J. Janowski.

Za Cesarstwa zakłady te miały zapomogę od rządu i Rady miejskiej, od r. 1870 zapomogę rządową zmniejszono o połowę, municypalność zaś paryska pomoc swą cofnęła zupełnie. Pożytecznym instytucyom zaczęła grozić ruina. Uformował się więc komitet z pań: Władysławowej Czartoryskiej, de Montessuy, Adamowej Natansonowej, Seweryny Duchińskiej, Augusty Gałęzowskiej i Le Pargneux, który uzyskał pozwolenie rządu na urządzenie loteryi w celu przyjścia z pomocą polskim zakładom. Wypuszczają 300,000 losów po franku. Wygrane stanowić będą obrazy. Wielu znakomitych artystów przyrzekło już podobno swą pomoc.

Nowa Macierz. Warszawski okręg naukowy stara się, jak twierdzi *N. Wremia*, o kredyt 4,000 rs. na wydanie i rozpowszechnienie książek dla ludu w Królestwie.

Przymusowa oświata ma być zaprowadzona we wschodnich powiatach siedleckiej i lubelskiej gubernii.

Izraelita polski zaczął wychodzić w Londynie. Jest to organ żydowskiego wychodźtwa z naszego kraju. Drukuje się czcionkami hebrajskiemi. Redaktorami są pp. Werber i Rabinowicz.

Statystyka zbrodni. Według danych urzędowych, w ciągu ostatnich lat dziewięciu spełniono w Rosyi przeszło pół miliona zbrodni. Największa ilość karanych miała od 26 do 30 lat. Największy procent zbrodniarzy stanowią bezżenni, potem idą żonaci ale bezdzietni, wreszcie żonaci i dzietni. Z tych 500.000 (w cyfrach okrągłych): 300,000 było niepiśmiennych, 130,000 umiejących czytać, 20 tysięcy z wykształceniem elementarnem, 9 z gimnazyalnem, 2 z uniwersyteckiem.

P. Michał Girdwojń stanął na czele Spółki udziałowej, która wydzierżawiła od skarbu jeziora trockie (niedaleko od Landwerowa), aby urządzić tam gospodarstwo rybne.

Zachęcona widokiem „sokołów“ czeskich młodzież akademicka krakowska postanowiła założyć u siebie podobne towarzystwo. Zdaje się, że w tem nie ma nic złego. Tymczasem głęboki *Czas* projekt potępił, gdyż... instytucyj narodowych Galicya ma dosyć, a ucząca się młodzież nie ma czasu na *gimnastykę*. Jak to tam było z tym czasem pp. redaktorów podczas ich pobytu w szkołach?

Zmarła Marya z Krasińskich Raczyńska, córka i ostatnia z dzieci Zygmunta Krasińskiego. Według zapewnień pism, nieboszczka zostawiła sporo rękopisów znacznej wartości.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Ad. Raw. Nie zaniechany, ale napotkał takie trudności, że po najszczęśliwszem przełamaniu ich ukaże się około nowego roku.

Anonimowi. Musielibyśmy wiedzieć, co Pan dotąd czytał i jakie jest pańskie rozwinięcie umysłowe. Podobnym potrzebom zaradzimy niedługo osobnym przewodnikiem. Wyliczać tu wszystkich dzieł niepodobna; radzimy więc tylko ogólnie: czytaj pan prace: Buckle'a, Drapera, Supińskiego, Baina, Wundta itd.

L. W. Nie — czytelnicy nasi znają to z dzieła Langego.

P. Stefanowi K. Szkoda, że listu pańskiego nic a nic nie rozumiemy.

L. S. Rzecz stara i czytelnikom pism warszawskich zwłaszcza postępowych oddawna i dobrze znana.

OFIARY.

Na wpis dla uczniów. Bezimiennie kop. 45, Józefowie Bersonowie rs. 15.

Dla studentek polek w Petersburgu. Bezimiennie k. 40.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Августа 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.